CENA 2 ZŁ.

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

NUMER GWIAZDKOWY





NA ŚWIĘTA — „4711"!

Wszystkie kobiety czekają na ten właśnie prezent. Brak wody kolońskiej „4711" wśród podarków świątecznych byłby dla nich bolesnem rozczarowaniem. Wieloletnia tradycja oparta na wszechświatowej sławie, jaką się cieszą wyroby „4711", stawia je na czele listy upominków. Kto zna gust kobiet, ten w wyborze podarków nie zawaha się i wybierze „4711".

Przy kupnie należy **BACZNIE** zwracać uwagę na prawnie zastrzeżone „4711" oraz na **„NIEBIESKO-ZŁOTĄ ETYKIETĘ"**.

№4711. Eau de Cologne

585/2

Wytwarzane całkowicie w kraju przez generalnego zastępcę firmy Z. BOCHNER i S-ka, Dziedzice.

Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK IV — CZASOPISMO ILUSTROWANE — GRUDZIEŃ 1930 r.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT Nr. 27. TELEFON 303-42.



TREŚĆ NUMERU:

Okładkę projektował Tadeusz Gronowski





Kolęda — *Zofja Stryjeńska*


PERFUMY
PUDRY
WODY
KOLOŃSKA
I KWIATOWA
MYDŁA
KREMY
ORAZ
ŚRODKI DO
PIELĘGNO-
WANIA
ZĘBÓW
EAU
DE COLOGNE
FR. PULS S.A.
FR. PULS S.A.
WARSZAWA WIERZBOWA 11
1928
T GRONOWSKI



Srednowieczne cechy były ogniskiem rękodzielnictwa, doprowadzonego do szczytu doskonałości.

Duch mistrzów średniowiecza żyje po dzień dzisiejszy w warsztatach Lincolna, wytwarzających samochody o wysokim poziomie piękna i mocy, gdyż każdy pracownik fanatycznie przestrzega tradycji pracy ręcznej.

Dlatego też samochody Lincoln są wyróżniane na całym świecie przez najkrytyczniej nawet usposobionych nabywców, zazwyczaj wybierających samochód najlepszy z najlepszych.

UPOWAŻNIENI ZASTĘPCY LINCOLNA W POLSCE:

WARSZAWA:

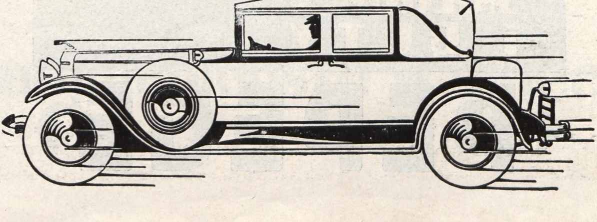
Autotraktor, sp. z ogr. odp.
B-cia S. i P. Bergman, inż.
Motofors, sp. z ogr. odp.

POZNAŃ: Józef Zagórski

LWÓW: Exhape, sp. z ogr. odp.

LINCOLN

LINCOLN Ford FORDSON




DLA WYTWORNEJ PANI
ŚNIEGOWCE
i BUTY
PEPEGE
DORYS WARSZAWA
PEPEGE

Oto - - -

najbardziej znane mydło świata!



Na całym świecie mydło toaletowe Lux zjednało sobie niezwykłą popularność. Teraz stanie się ono i u nas niezbędne – gdyż jest – doskonałe, a przytem tanie.

MYDŁO TOALETOWE

najulubieńsze w świecie

LTS . 95

NA GWIAZDKĘ

NAJELEGANTSZY
PREZENT -- PERFUMY

JEAN PATOU

AMOUR-AMOUR
QUE SAIS-JE?
LE SIEN
ADIEU SAGESSE



Le Service typographique

Teatr i Życie Wytworne.

ROK IV — CZASOPISMO ILUSTROWANE — GRUDZIEŃ 1930 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT Nr. 27. TELEFON 303-42



Fot. Van-Dyck

Vera Bobrowska, artystka teatru „Morskie Oko" *Suknia wieczorowa, model firmy „Ludwika"*

4

KORNEL MAKUSZYŃSKI

NAUKI ŚWIĄTECZNE

Zdumiewające są stare nałogi. Kiedy się kto urodził Kanibalem, temu nie pomoże pielęgnowanie paznokci. Wedle tego niezłomnego prawa, ja nie potrafię być wytwornym, ile też razy mam napisać feljeton do pisma, które słowo «wytworność» nosi w swoim tytule, jak perłę w krawacie, nadaremnie walczę z buszmeńską duszą, wzywając ją cierpkim głosem chociażby do zachowania jakich takich pozorów. Przemawiał dziad do obrazu... Dusza moja wierzga i dzikie wydając okrzyki, zapowiada, że nie zniesie, aby ją poddawano torturom strojnych słów, wytwornych, polerowanych powiedzeń, lub nadobnych porównań, że się nie da ostrzyc i skropić wytwornem pachnidłem, dlatego to w pięknem tem, na welinie drukowanem piśmie, feljeton mój wygląda prawie tak, jakby wyglądał czerwony, zapity nos na anielsko pięknej, dziewiczej twarzy. Sama myśl o takim zestawieniu budzi grozę, jakżeż przeto straszną musi być rzeczywistość! Wszystko dookoła nadobne, wypolerowane, strojne, pachnące, najmodniejsze, kobiety, jako kwiaty, automobile, zgrabne i tak cudnie zbudowane, jak kobiety, młode aktorki, jak anioły, cokolwiek starsze, jak archanioły, korpus dyplomatyczny, jak korpus Apollina ze zgubioną głową, sceniczne i kinematograficzne gwiazdy płci obojga, ba! czasem nawet miss Polonia obok reklamy dentosanu, — a wśród tego, niewiadomo po co ja, człowiek jaskiniowy, ze wzrokiem dzikim i szatą plugawą z madejową pałą słowa w ręku, wywracający i tłukący kryształy, rzadką porcelanę, fałszywe zęby starszych aktorek, następujący na zawiesisty ogon sukni, okrywającej pulchny korpus dyplomatyczny. Z podziwu wyjść nie mogę, że mnie w tak świetnem tolerują zebraniu z moim stylem, w którym, jak rodzynek w cieście, tkwi czasem jakaś «psiakrew», lub «cholera». Pochodzi to stąd, że nie wierzę, żeby teatr mógł być życiem i żeby życie było wytworne. Nigdy ono takiem nie było i nie będzie. Człowiek powleczony jest wprawdzie cienką warstwą kultury, ale pod nią dość gruba chowa się bestja. Symbol wytworności, kwiat swojego czasu, perfumowana fontanna inteligencji, francuska markiza, obmywała tylko twarz raz na dwa tygodnie, poza tem z nieporównanym wdziękiem złotym młoteczkiem raczyła zabijać wytworne wszy. Król słońce, Ludwik XIV raczył na stare lata dostać fistuły z brudu. Uczyniliśmy wprawdzie od owych pudrowanych czasów niejaki postęp w hygienie i dość trudno możemy sobie dziś wyobrazić, już nie księżnę nawet, ale miłą aktorkę, drapiącą się w plecy «pogrzebaczem» ze słoniowej kości. Skórę już mamy wytworną, a łazienka warszawska coraz mniej używana jest jako skład kufrów, szczotek, ścierek, słojów konfitur, marynat i deski do prasowania, a coraz częściej do kąpieli, tak, że zaczyna świtać nadzieja, że za lat kilkadziesiąt wyłącznie na ten ciepły będzie skazana użytek. Rzecz w tem, aby cza=



Goniec Św. Mikołaja — *Fot. Manassé*

sem wykąpać nietylko grzeszne ciało, ale bardziej jeszcze grzeszną duszę. Życie może być wytworne, a dusza jak ta lafirynda. Uśmiech najwytworniejszy na świetnie spreparowanem obliczu, a w duszyczce mrok i stęchlizna, gruboskórność, «pyskatyzm» i «chamizm». (Są to słowa, urobione na modłę terminów naukowych).

Podziw musi rosnąć w tępym, acz nieskazitelnie wytwornym czytelniku, że przemawiam z taką goryczą. Winne są temu święta Bożego Narodzenia. Mają one na mnie wpływ uroczysty i budzą we mnie kaznodziejskie zapały. Mógłbym wygłaszać kazania do ryb i do ptaszków, choć wtedy przemawiałbym ze słodyczą, gorycz zaś moja stąd się wywodzi, że przemawiam do ludzi.

Na nic ta słodycz, na nic słowo, niebem pachnące i przepojone słońcem, muszę być groźny, a, jak powiada stary łgarz, Benvenuto Cellini, słowa moje musza być «żelazne». Każde z nich powinno mieć w sobie taką twardość, aby wybić ząb, podbić oko, lub złamać żebro. Inaczej bowiem nigdy nie będzie porządku, inaczej nigdy nie zdołam wzruszyć zatwardziałych dusz. Wzniosłe i mądre hasło «Chat noir'u» z przed połowy wieku: «Homme! sois moderne!» — «Człowieku, bądź nowoczesny!» — należy przetransponować na okrzyk: «Człowieku! bądź wytworny!» Nie w tym sensie jednakże, aby ten człowiek był tylko dobrze skrojony i tylko w pysku dzierżył tę wytworność, jak wielkanocne prosię malowane jajko. Już najwyższy czas, aby tę wytworność miał w sercu. Nie sztuka to żadna być wytwornym w oczy, a brudnym łapserdakiem poza oczy, w tem rzecz właśnie, że wytworny człowiek powinien takim być nawet, albo przedewszystkiem wtedy, kiedy jest sam. Inaczej tak to wygląda, jakgdyby indywiduum, prawiące dusery kobietom poza domem, w domu bił żonę nogą, wyrwaną z krzesła. Z niejakim prawdopodobieństwem możnaby o takim rzec człowieku, że zwyczajna świna. Najgorszy to towar, taka wytworność na wynos. W porównaniu na odmianę żeńskiem, sto djabłów niech porwie taką damę, co w ludzkiem zbiorowisku jest markizą, a w domu megerą, co z gęby sypie otręby. Trzeba, aby «życie wytworne» było niem wtedy, kiedy go nikt nie ogląda. Są to jednak marzenia tak niebieskie, że nie należy sobie niemi promienistej zawracać głowy, a od straszliwości życia żądać jedynie choćby drobiazgów i choćby nieznacznych ustępstw na rzecz codziennie poniewieranej wytworności. Bywają takie chwile, że Pan Bóg zsyła na ludzi opamiętanie, należy zaś przypuścić, że chętniej to czyni w okresie świątecznym, niż kiedyindziej. Może się tedy zdarzyć, że podczas świątecznych rozmyślań, ten i ów dojdzie do przekonania, że jednak nie można go nazwać człowiekiem wytwornym, a raczej Kalibanem, Kanibalem, Baszybużukiem, intrygantem, mąciwodą, bęcwałem, gruboskórnym, barbarzyńcą, pyskaczem. Byle tylko zetrzeć z niego naskórek kultury, zaraz z niego wyjdzie tych dziewięciu djabłów, powyżej dorywczo wymienionych. Na każdym kroku i o każdym czasie. Kiedy nieszczęsna królowa Marja Antonina nastąpiła na nogę katowi pod gilotyną, rzekła słodko: «Przepraszam pana,



Pierwsza kolęda

śpiewa jak poemat, którego początek jest w duszy poety, a koniec w nieśmiertelności. Tak się dzieje, kiedy zdjąwszy z siebie wytworne atłasy, fraki wzorzyste, śnieżne peruki, i misterne żaboty, zaczynają wytworny dyskurs dwaj w dwóch gazetach, wojujący dziennikarze, albo dwaj obrażeni literatowie. Zaczyna się pięknie, z wytwornym jeszcze, acz już zlekka wykrzywionym uśmiechem. Błyska stalowa szpada ironji, słowa krwawią się, jak róże, lub nalane purpurą rubiny. A potem... Dajmy temu pokój, aby nie kalać białości zimy, czystości śniegu, a Panu Bogu nie zatruwać świąt.

Tak, tak, życie jest wytworne... Jechał je sęk, z taką wytwornością. Posłuchaj, co o tobie mówią twoi serdeczni przyjaciele, co mówi strojna pani o strojniejszej pani, co mówi zły poeta o gorszym poecie, co mówi wuj o siostrzeńcu, a siostrzeniec o kuzynce, co mówi aktor o aktorce, malarz o malarzu,— jak wytwornie, jak nadobnie, jak miło, jak wdzięcznie, jak ślicznie, a poszedłszy na plac Napoleona, obwiesisz się na najwyższej choince. A ja mam używać «wytwornych» słów i sypać kwiatki? Więc walę cholerami i psiakrwiami, aby nie odznaczać się w dobranym chórze. To dopiero początek wiel=



Pani Maurycowa Pate ze swoim ulubieńcem „Dickie"
Fot. Dorys

nie uczyniłam tego naumyślnie!» Potem kat ściął jej śliczną głowę. Gdyby dziś ktoś komuś nastąpił na odcisk na nodze, czy na sercu (!) — dowiedziałby się niezmiernych tajemnic: 1) że jest draniem, 2) że jego rodzina była w niesłychanych kolizjach erotycznych, 3) że należy go sprać po mordzie, 4) że wogóle i t. d. Potem idą do komisarjatu. Tak to sobie mówią nawet markizowie i nawet markizy. Jest to przepis na wszystkie pory dnia i roku, na wszystkie miejsca (teatr, kino, tramwaj, kolej) i na wszystkie inne okoliczności nieprzewidziane.

W wypadku osobistych kolizji, twarzą w twarz, mają miejsce czasem choć rzadko, okoliczności łagodzące, stąd pochodzące, że wytworny adwersarz, nikczemnej struktury, podaje tył fizycznej przemocy i należną resztę dopowiada już w duchu, aby nie ucierpiała zwyczajem uświęcona całość ceremonji. Rzecz, zresztą kończy się automatycznie rozejściem się we dwie strony, lub grzmiącym wyrokiem arbitra elegantiarum, pana przodownika w komisarjacie. Kiedy jednak niema takich przeszkód natury materjalnej, wytworny djalog, raz rozpoczęty, wije się, jak kręty meander, snuje się jak nieskończona, srebrzysta pajęczyna,



Gertruda Mueller, znakomita artystka Opery Komicznej w Paryżu
Fot. D'Ora

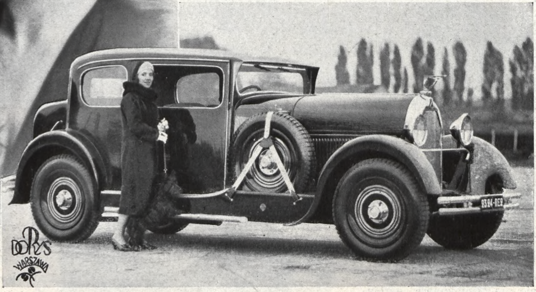


URODA SAMOCHODU

Technika budowy samochodów w ostatnich latach zwolniła nieco tempo swego rozwoju. Fabryki doprowadziły swe produkty do takiego stopnia doskonałości, że obecnie konstruktorzy co roku dodają udoskonalenia, nie zmieniając istotnych części maszyn.

Olbrzymiej ewolucji natomiast uległy ostatnio karoserje, doprowadzone do perfekcji nietylko przez specjalne warsztaty, lecz i w seryjnej budowie fabrycznej. Niezmiernie charakterystyczny w tym względzie jest wynik konkursu piękności, zorganizowanego przez Automobilkub Polski.

W wyniku konkursu, obok pięknie skonstruowanego Talbota Maurycowej hr. Potockiej, rasowego Austro-Daimlera, okazałego Corda A. hr. Potockiego, w serji pierwszych nagród okazała się dystyngowana limuzyna Citroën pani dyr. Turnai. To wyróżnienie niedrogiego francuskiego samochodu jest zjawiskiem wielce charakterystycznem — estetyczny wygląd przestał być wyłącznym przywilejem kosztownych maszyn.

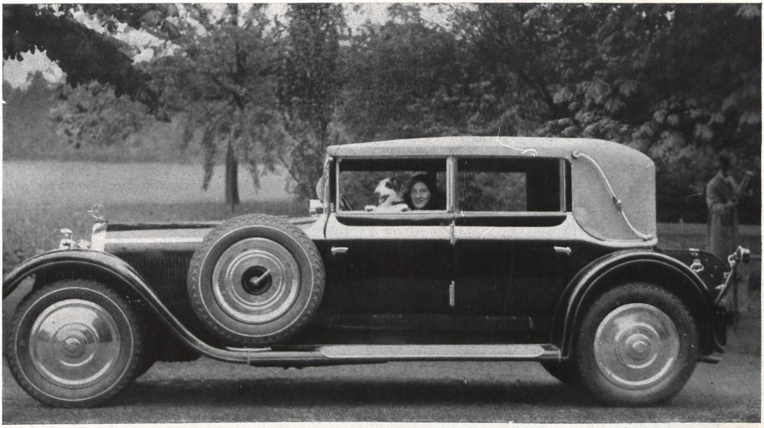


Maurycowa hr. Potocka i jej Talbot (karoserja Million-Guyet), nagrodzony na konkursie piękności samochodów

kiej nagminnej choroby i narazie mało wytworny jestem jedynie w gębie, co jest nieszkodliwe. Serce posiadam jeszcze jakie takie, nikomu nie zazdroszczę i nikogo nie obmawiam, — maluczko jednak, a zacznę to czynić, bo akademję mam w kawiarni i w teatrze i w kinie i w tramwaju. Trwożę się tego, więc zwracam fijołkowe oczy na aniołka na choince, i rzewnie śpiewając kolendę, proszę go, aby mnie przed tem ustrzegł. Gęby już mi nie naprawi, nie dokaże tego, abym nie miał zawsze zmiętoszonych spodni, ale może mi zachowa serce wytworne. Co daj Boże wszystkim ludziom dobrej woli, a damom szczególnie.



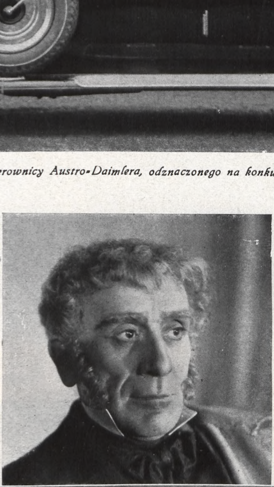
P. Dyr. Turnai przy swej limuzynie Citroën nagrodzonej na konkursie piękności organizowanym przez Automobilklub Polski



P. Dyr. Burgerowa przy kierownicy Austro-Daimlera, odznaczonego na konkursie piękności samochodów

„WARSZAWIANKA”

dramat Stanisława Wyspiańskiego w teatrze Nowym. Reżyserowała Irena Solska



Uroczystość setnej rocznicy powstania listopadowego wypadła pod względem artystycznym wręcz koszmarnie na scenicznych parkietach teatru Nowego. Deklamowano różne wiersze i grano *Warszawiankę* Wyspiańskiego. W deklamatorskiej interpretacji artystów Warszawskich Teatrów Miejskich poezje Mickiewicza, Słowackiego wydawały się utworami grafomańskiemi. Co sądzić o egzaminacyjnej komisji Związku Artystów Scen Polskich *(Zaspu)* jeżeli tych, którzy tak potwornie mordują naszych najznakomitszych poetów w święto narodowe i publicznie, uznało za fachowców?!

Chybione było i przedstawienie *Warszawianki*, sławnej „pieśni” krakowskiego poety. W przedstawieniu tem brała udział pani Irena Solska, Ludwik Solski, p. Szymański i p. Halska. Mimo wszystkie błędy przedstawienia, błędy niemałe, publiczność była wzruszona. Działała tu niewątpliwie i sugestja naszej pamięci, naszej wiedzy historycznej i ta nieodłączna myśl, że właśnie przed stu laty, niemal co do dnia przed stu laty, ci sami ludzie, ten sam Chłopicki...



Scena z „Warszawianki” Wyspiańskiego na scenie teatru Nowego. U góry: Szymański w roli Chłopickiego

Fot. J. Malarski

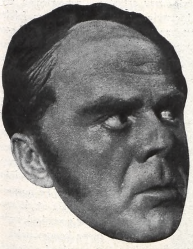
„SPISEK KORONACYJNY",

sztuka Juljusza Słowackiego w teatrze Narodowym. Reżyserował Juljusz Osterwa, dekoracje Wincentego Drabika.

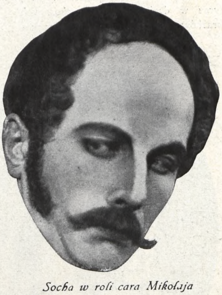
Juljusz Słowacki napisał *Kordjana*, pan Juljusz Osterwa ostrym ołówkiem reżyserskim wyjął z tego utworu *Spisek koronacyjny*. Z tragedji, malującej poetycznie, ale nie bez dyskretnej ironji, straszliwą chorobę wieku, romantyzm, p. Osterwa wykroił niemal awanturę. Bajroniczne dreszcze, któremi jest wstrząsany sympatyczny młodzieniaszek, nieodpowiedzialna jego zabawa w mierzenie sił na zamiary, zabawa w wykonywanie patetycznych gestów z zapatrzeniem się narcyzowem w samego siebie, w swoje poetyczne tęsknoty, zabawa w powagę życia z narażaniem się na rzeczywistą śmierć,



Juljusz Osterwa, reżyser i odtwórca roli Kordjana



K. Junosza-Stępowski w roli W. Ks. Konstantego

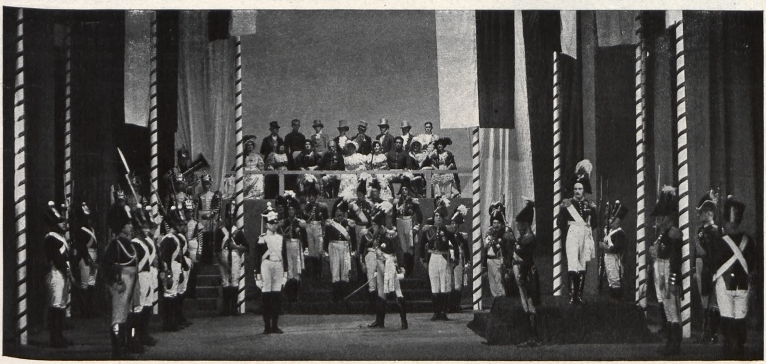


Socha w roli cara Mikołaja

wszystko to zginęło, było niewidoczne i nie do odgadnięcia w tym reżyserskim wykroju, który nam p. Juljusz Osterwa pokazał na scenie teatru Narodowego w setną rocznicę Listopadowego powstania. Sam grał postać tytułową, rozminąwszy się z autorską koncepcją tej postaci. Trudno pojąć, dlaczego Kordjana nie grał p. Węgrzyn. Jakie role będzie grywał pan Węgrzyn, jeżeli pan Chaberski sprowadza na rolę Kordjana artystę z innego teatru? Nie na to przecież Teatr Narodowy posiada artystę tej miary, co p. Węgrzyn, aby p. Węgrzyn występował gościnnie w teatrach innych miast, a jego miejsce na pierwszej scenie polskiej aby gościnnie zajmował artysta z poza trupy Teatru Narodowego i właśnie artysta nieodpowiedni.

Dwóch tylko artystów ratowało honor tego rocznicowego przedstawienia, Junosza-Stępowski, jako wielki książe Konstanty i Wojciech Brydziński, jako doktór. Obaj stworzyli arcydzieła gry aktorskiej.

Sceny zbiorowe były kosztownie nieefektowne.



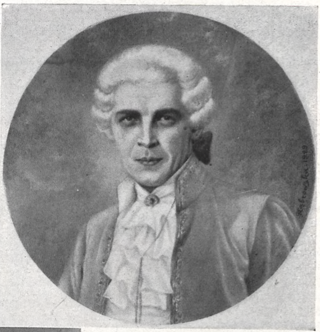
„Spisek koronacyjny" J. Słowackiego na scenie teatru Narodowego. Scena na placu Saskim Fot. J. Malarski

WYSTAWY JESIENNE

Zofja Stryjeńska oddawna nie miała większej wystawy. Mówiono nawet, że po sukcesach paryskich 1925 r. spoczęła na laurach, zdobywając swą brawurową kompozycją p. t. «Pory Roku» w sali honorowej polskiego pawilonu na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej, światowy rozgłos, Grand-Prix i Legję Honorową.

Laury zdobyte — o spoczynku niema mowy. Stryjeńska ma burzę w piersi, w głowie — wulkan pomysłów. Od lat kilkunastu maluje bez przerwy, choć stale grozi, że zrywa ze sztuką. Jeżeli ma czas na bogate i burzliwe życie, to dlatego, że tak w pracy jak w życiu, bierze zwykle największe tempo, wszystko chłonie z pasją, rozdaje bez rachunku. Dziesiątki, setki obrazów i obrazków rozchwytywane są, wydzierane jej z pod pendzla, sprzedawane «na pniu». Potrafi pracować po kilkanaście godzin dziennie, a w godzinę zrobić więcej, niż inni przez dnie całe. Ma rozmach, szybką decyzję, pewną rękę. Szybko też i z impetem rzuca się w wir życia, wyjeżdża i wraca, nawiązuje i zrywa.

Głębokie przeżycia młodzieńcze w rodzinnym Krakowie, później w Monachium, gdzie w fantastycznych warunkach, przebrana za chłopca, jest uczniem Akademji Sztuk Pięknych, znajdują wyraz w dwóch serjach rozkosznych obrazków, będących odbiciem dojrzewającej duszy artystki i zapowiedzią wyraźną stylu jej sztuki. To epiczno-folklorystyczne «Bajki» i marzycielski, fantastyczny «Romans» — świat zdarzeń cudownych, sił nadprzyrodzonych, legend na nowo, twórczo przeżytych, z tęskoty zrodzonych fantazyj. A potem, z szybkością filmu, następują po sobie dalsze prace, kroczy korowód postaci i zdarzeń. Bo artystka myśli zdarzeniami i postaciami, które czekają jakby gotowe w czarownym kotle jej wyobraźni, aby wybuchnąć, rozprysnąć się rakietą w cudne bukiety gwiazd i kwiatów. Te postacie i zdarzenia łączą się w cykle aż do wyczerpania, po to, by znów powrócić, znów się uszeregować w nowe kompozycje.







Minjatury teatralne Kazimiery Dąbrowskiej w Salonie Jesiennym Zachęty: Juljusz Osterwa („Fircyk w zalotach"), Marja Majdrowiczówna i Janina Romanówna („Mazepa").

Stryjeńska jest nawskroś oryginalna, stworzyła własny styl. Ale nie zna hamulca. Przechodzi przez wszystkie uczucia. Jest poetką, czasem trzeźwym, przenikliwym obserwatorem. Tematy swoje traktuje bawiąc się, lekko, niefrasobliwie, z humorem, to znów głęboko dramatycznie, lub nieskończenie rzewnie. Ma wdzięk i rozmach, delikatność i furję. Śmieje się do rozpuku, płacze do omdle-



Zofja Stryjeńska *Zima*

nia, szaleje bezprzytomnie, rozczula się do łez. Podkreśla, charakteryzuje, przejaskrawia, fantazjuje. Ale mówi prawdę i mówi rzeczy bardzo nam bliskie. I tem wszystkiem bierze nas za łeb, potrząsa, budzi, chwyta za serce, podnieca wyobraźnię, sięga do najgłębszych pokładów etnicznego poczucia, łączy dzisiejsze pokolenie, zagrożone narodową bezwyznaniowością w sztuce, z glebą rodzimą. Gra na wszystkich ludzkich strunach, ale mocno bije w polski dzwon.

Jerzy Warchałowski

* *

Henryk Kuna przeciwstawia się każdą swoją rzeźbą — bez względu na jej temat — naturalizmowi. Artysty nie pociąga wcale dynamika, żywiołowa siła ruchu lub wyrazu. Nie dba on o tak zwaną naturalistyczną prawdę, nie zajmuje się tem, co przemijające i przypadkowe, nie wystarcza mu to, co jest dobitnie i wyraźnie zindywidualizowane, to też odnosi się raczej wrogo do wszelkiej brzydoty, jakkolwiek w niej właśnie tyle zazwyczaj tkwi charakterystyki i ekspresji. Nie daje się porwać romantycznym uniesieniom, nie przemawia mu nigdy do przekonania treść, rozsadzająca rzeźbiarską formę.

Gardzi efektami gry światłocienia, a impresjonistyczne zagadnienie barwy w rzeźbie jest mu całkowicie obojętne, nie przedstawia bowiem dla niego żadnej konkretnej wartości w rzeźbiarskiej praktyce.

W rzeźbach Henryka Kuny idzie o coś zupełnie innego — to też patrząc na nie trzeba sobie dobrze z tego zdać sprawę, trzeba zrozumieć intencje artysty, inaczej bowiem może zajść grube artystyczne nieporozumienie.

Nie dynamika, lecz przeciwnie statyka jest dla H. Kuny podstawową zasadą kształtowania.



Henryk Kuna i jego rzeźba „Jutrzenka"

Artysta nie podporządkowuje ani siebie ani swej rzeźbiarskiej formy obranemu motywowi z natury, lecz naodwrót motyw ten, studjum głowy, portret czy statua, jest dla niego podatnem jeno tworzywem, które mu umożliwia plastyczne ujęcie bryły w starannie obmyślany schemat kompozycyjny.

W rzeźbach H. Kuny nie chodzi o wierne kopjowanie rzeczywistości, o oddanie konwencjonalnej i zdawkowej prawdy, ani też o jakąkolwiek iluzję życia.

Celem zamierzeń artysty jest styl — to też rzeźby jego są przedewszystkiem wyraziście stylizowaną bryłą. Zdąża zaś artysta do osiągnięcia tego stylu drogą głębokiej refleksji, drogą harmonji, ładu, wysoce artystycznego taktu i umiaru, drogą konsekwentnie przeprowadzonej choć nienarzucającej się oczom w sposób przykry, gdyż wytwornej i łagodnej, rytmiki linji.

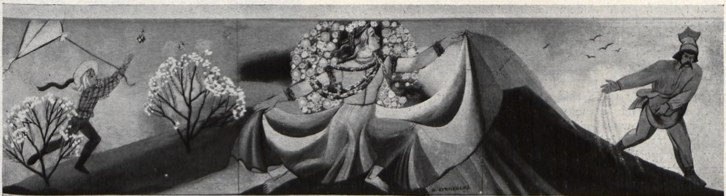
Hieratyczna powaga i klasyczny spokój, nie zaś rozwichrzony romantyczny pęd jest charakterystyczną cechą rzeźb H. Kuny.

Wydają się one wszystkie, na pierwszy rzut oka przynajmniej, takie niedzisiejsze, takie oderwane od życia, od wszelkich znamion określonego czasu i środowiska.

Nieraz na widok bronzów, marmurów czy rzeźb w drzewie tego artysty, widz ma wrażenie, że jakaś głowa czy figura wiąże się dziwnem, niełatwem zresztą do określenia pokrewieństwem z nabytkami rzeźcy odległych epok.

Coś tam jest takiego, co przywodzi na myśl greckie rzeźby archaiczne z VI i V wieku przed Chrystusem — prawda? A czasem znowu coś, co pogłębionym psychicznym wyrazem żywo przypomina raczej arcydzieła gotyku, jak np. «Krucyfiks»?

Mieczysław Treter.



Zofja Stryjeńska *Wiosna*



P. Stefanowa Baczewska



„Bary"



P. Marja Koźmianowa Fot. Dorys

POKŁOSIE AUTOMOBILOWE

Interesujący i obfitujący w sensacje był tegoroczny sezon automobilowy. Najpierw wyścig w pięknej dolinie Ojcowa, następnie Raid Międzynarodowy na nowych podstawach oparty, później Wyścig Tatrzański, zaliczony do rozgrywek o Mistrzostwo Górskie Europy, wreszcie — Wyścig Okrężny we Lwowie.

Ostatnim numerem programu w myśl tradycji jest raid Pań. Nie wiem, dlaczego właśnie ten raid jest wyznaczany na porę jesienną. Przecież aura w Polsce w tym okresie jest więcej, niż zmienna, a liczyć w związku z raidem Pań na babie lato — toby było przecież więcej niż niedelikatne.

Na tydzień przed raidem nie było jeszcze pewne, czy impreza ta wogóle dojdzie do skutku. W myśl regulaminu raid może się odbyć przy udziale najmniej dziesięciu maszyn, zaś w ostatnim dniu zgłoszeń na liście figurowało jedynie pięć nazwisk. Uratował sytuację dyr. Barylski, który w ostatniej chwili zgłosił pięć maszyn. Gdyby do kompletu brakowało piętnastu maszyn, nie zawahałby się zgłosić brakującą ilość, aby tylko raid doszedł do skutku.

Na starcie raidu stanęło dziewięć maszyn. W kategorji wysokolitrażowej startowało pięć maszyn: sportowy Austro-Daimler, Praga-Alfa i trzy sześciocylindrowe Citroeny, stanowiące zespół fabryczny. Kategorja słabsza (do 1,5 litra) składała się z zespołu fabrycznego Praga-Piccolo i czterocylindrowej Tatry. Skład maszyn, jak widać z powyższego zestawienia niezbyt urozmaicony, wszakże interesujący ze względu na udział aż dwuch zespołów fabrycznych.

Zespół kierowczyń pozwalał zgóry przypuszczać, że walka o dobre miejsce w klasyfikacji będzie zacięta i trudna. Najgroźniejszą konkurentką była oczywiście p. Marja Koźmianowa, która na swoim Austro-Daimlerze odniosła w sezonie bieżącym niejeden piękny sukces.

W bardzo silnym komplecie ruszyły ze startu Pragi-Oświęcim. Team fabryczny maszyn Praga-Piccolo prowadziły panie Skarbek-Tłuchowska, Śliwińska i Toepferowa. W raidzie wszystkie trzy panie brały udział poraz pierwszy, wszakże miały za sobą udział w niejednej imprezie sportowej. Poza teamem szła Praga-Alfa pani Stałowskiej z Katowic.

Równie groźna była ekipa Citroena. Pani Podhorodeńska jest jedyną kierowczynią, która brała udział we wszystkich pięciu raidach pań. Pani Baczewska ze Lwowa, nosicielka jednego z najbardziej popularnych w Polsce nazwisk, łączy wdzięk niewieści z iście męską brawurą i nerwem sportowym. Pani Romerowa oddawna już z zapałem uprawia sport automobilowy i brała udział w niejednym zjeździe gwiaździstym.

Wreszcie dziewiąta kierowczyni — pani Zajączkowska-Meissnerowa, artystka teatru Narodowego, stanęła do udziału w raidzie nie licząc na wawrzyny, lecz pragnąc poprostu zaakcentować swe zamiłowanie do szlachetnego i pożytecznego sportu automobilowego.

Właśnie na czterocylindrowej Tatrze pani Zajączkowskiej miałem przyjemność i zaszczyt odbywać pierwszy etap raidu.

Na podstawie kilkuletniego doświadczenia stwierdzić muszę, że pierwszy etap raidu jest zawsze etapem niespodzianek. Teorja ta znalazła potwierdzenie i w tym wypadku. Pierwszą niespodzianką było nadspodziewanie szybkie ukończenie raidu przez panią Romerową. Niedaleko za Siedlcami trzasł jej maszynie resor. I to trzasł tak gruntownie, że o naprawie na miejscu nie mogło być mowy. Wycofanie się pani Romerowej oznaczało rozbicie teamu Citroena. W dalszym ciągu raidu

Dokończenie artykułu „Pokłosie automobilowe" na str. 24.



Pp. Przybyłko-Potocka, Modzelewska, Zimińska, Stanisławski i Wesołowski w komedji „Lekkomyślna siostra"
Fot. St. Brzozowski

„LEKKOMYŚLNA SIOSTRA",

komedja Włodzimierza Perzyńskiego w teatrze Małym.

Beznadziejnie słaby *Lekarz bezdomny* p. Antoniego Słonimskiego spadł z afisza po kilku przedstawieniach przy zupełnie pustej sali teatralnej. Takich pustek nie pamiętają podobno najstarsi ludzie, jeżeli nie brać pod uwagę straszliwej klapy *Wieży Babel* tego samego pana Słonimskiego. Można z niejakiem powodzeniem udawać talent w liryce rymowanej, w powieści, w artykule, niezmiernie trudno udawać talent komedjopisarski. Pisarza bez talentu scena demaskuje bez litości—prawie zawsze. P. Antoni Słonimski nie ma talentu komedjopisarskiego za złamanego szeląga. *Lekarzowi bezdomnemu* nie pomogli nawet tak utalentowani i sumienni artyści, jak St. Stanisławski, Romanówna, Maszyński, Czaplińska, Maliszewski, Małkowski.

Zato wznowienie *Lekkomyślnej siostry* Włodzimierza Perzyńskiego jest poprostu triumfalne. Bo też *Lekkomyślna siostra* jest scenicznem arcydziełem złośliwego humoru. Przepełniona widzownia co chwila wybucha niepowstrzymanym śmiechem.

Rolę tytułową przemile interpretuje p. Modzelewska, rolę pani Topolskiej fenomenalnie gra urocza Marja Przybyłko-Potocka. Jest to artystka bezspornie wielka, w roli tej płytkiej, złej, próżnej, zawistnej, sprytnej ale głupiej wieszczki wprawia publiczność w zachwyt.

Świetny jest Stanisławski, dobra Zimińska, zabawny p. Wesołowski, a obok nich budzą śmiech p. Daczyński, i p. Grabowski. *W. Gr.*

WACŁAW GRUBIŃSKI

ZNAKOMICIE! ZNAKOMICIE!

— Ach, jak ona znakomicie gra w tej sztuce!

— Byłeś? Nie? Idź go zobaczyć. Powiadam ci znakomity! Właśnie teraz grają w teatrze... w tym...

Nieraz się słyszy i nieraz się czyta o aktorce i o aktorze, iż grają znakomicie. Znakomicie! Znakomicie!

Tymczasem... Określnik «znakomicie» daje się wprawdzie zastosować sprawiedliwie i słusznie, lecz w rzadkich, w bardzo rzadkich, w niezmiernie rzadkich wypadkach do interpretacji scenicznych naszych artystów dramatycznych. Istotnie znakomitych artystów, to jest takich, którzy po za wielkim talentem aktorskim posiadają głęboką znajomość fachu aktorskiego, którzy są niejako mistrzami umiejętności aktorskiej, dla których «wiedza» aktorska niema tajemnic, nie liczymy wielu. Wręcz przeciwnie. Liczymy ich mało. Bardzo mało. Straszliwie mało. Wystarczy palców jednej ręki. Za dużo!

A jednak słyszy się dosyć często, że ta a ta młoda artystka grała znakomicie. Chociaż grała licho. Dlaczego tak mówią? I kto mówi? Bywalcy teatralni i niektórzy krytycy.

Mówią tak dla dwóch powodów: Najpierw dlatego, że się nie znają na sztuce aktorskiej, a po drugie dlatego, że nie odróżniają dobrej roli i efektownych sytuacji od dobrej roboty aktorskiej. Młoda, ładna aktorka mówi tekst błędnie, lecz odważnie, z niezachwianą pewnością siebie, więc publiczność daje sobie narzucić to fałszywe wykonanie roli



Marja Gorczyńska w komedji S. Kiedrzyńskiego „Nie rzucaj mnie, madame!" w teatrze Letnim

jako wykonanie właściwe, jako ucieleśnienie takiej właśnie indywidualności, błędnie wprawdzie akcentującej, ale koniec końców miłej, niezbędnej osóbki. Resztę robi autor i reżyser, dowcip sytuacyjny, akcja, myśl przewodnia sztuki, ba! kilkakrotna zmiana kostjumów. Artystka się podoba, ozdobiona przez autora, reżysera, dekoratora, krawca, a publiczność (gorzej że i, częściowo, krytyka) woła bez zastanowienia:

— Ach, jak ona znakomicie gra w tej sztuce!

Podobać się, to u nich z n a c z y g r a ć, grać znakomicie!

Biorąc przykład najświeższej daty, mógłbym wymienić niepozbawioną zdolności, młodą i ładną aktorkę, która ostatnio wzbudziła zachwyt publiczności i dużego odłamu krytyki, akcentując jednakowo mocno wszystkie, *wszystkie* wyrazy swojej pierwszorzędnej roli. Akcentować wszystkie wyrazy w zdaniu znaczy nadawać zdaniu kilka sensów, zamiast tego jednego, dla którego zdanie zostało napisane. W ten sposób ta młoda, zgrabna i przystojna aktoreczka grała całą rolę. A rezultat? Utopiła rolę w monotonji, z której wypłynął tylko najogólniejszy charakter postaci, mianowicie tupet. Cokolwiek za mało. Wyobraźmy sobie arję koloraturową, zredukowaną do jednej jedynej nuty!

— Ależ to wszystko jedno! — woła mój przyjaciel. — Czy nie dość, że się podobała? (ta artystka).

— Podobałaby się stokroć więcej, gdyby nie fałszowała. Podobanie się jest faktem dla wszystkich radosnym, ale nie ono stanowi istotę sztuki aktorskiej. Pewien kiepski myśliwy spudłował do zająca, tym samym jednak strzałem niechcący położył chorego zaraźliwie psa, będącego postrachem kilku wsi okolicznych. To pudło bardzo się wszystkim podobało, ale nie można przecież tego pudła nazywać znakomitym strzałem. Zresztą, aktorów, niepewnych akcentowania, więc

asekurujących się kilkoma równoważnemi akcentami w zdaniu, jest u nas poczet niemały. Sceny nasze potrzebują korepetytora, któryby z aktorami przechodził rolę w domu, jak śpiewak operowy przechodzi arję z nauczycielem śpiewu. Mamy więcej talentów aktorskich, niż talentów rozwiniętych przez wiedzę fachową. Mijają lata i młodzi utalentowani aktorzy nie pomnażają swoich środków technicznych wypowiadania się aktorskiego. Ten ani trochę nie opanował swojej nerwowej skłonności do ostrej szarży, ów od szeregu lat grozi kokieteryjnie paluszkiem każdej pannie i niewieście w scenie flirtu i oświadczyn miłosnych, tamta, ile razy amant mówi jej słodkie słówka, dodaje sobie do roli zażenowane i wielokrotne »No, nie!« owa, nawet kiedy gra bokserkę, zagryza paznokietki ruchem pięcioletniej zawstydzonej dziewczynki, i tak dalej i t. d., i t. d. — — A krytyka nie widzi, że ci utalentowani artyści od dobrych ośmiu, czy dziesięciu lat wcale się nie doskonalą, i wypisuje im komplimenty, pisze o jednym, pisze o drugiej: «znakomicie! znakomicie!» i temi komplimentami wcale się nie przyczynia do rozwijania młodych talentów aktorskich, ani do ugruntowania swojej własnej powagi w kołach teatralnych. Po kilku «sezonach» stałego łykania drukowanych słodkich słówek, obiecująca, miła, zdolna, utalentowana, młodzież aktorska zaczyna się uważać za wirtuozów, chociaż tyle właśnie umie, ile umiała kilka lat temu, Dopiero gdy się takiej mistrzyni zdarzy zagrać w sztuce z prawdziwą mistrzynią, z panią Przybyłko-Potocką, czy z panią Mieczysławą Ćwiklińską, dopiero wówczas — że użyję wyrażenia zakulisowego — klapa. Jest się zgaszoną, bladą, prawie niezgrabną, prawie brzydką, prawie pozbawioną wdzięku, prawie niedostrzegalną. Bo jedyny urok, który na scenie promienieje bezkonkurencyjnie, jedyna uroda, która na scenie zaćmiewa najpiękniejsze nosy, najlepiej wykrojone usta, najzgrabniejsze figury, płynie z talentu rozjarzonego kulturą. Talent trzeba kultywować, uprawiać, wówczas wydaje owoce wielkie i soczyste. Jabłonka zaniedbana daje jabłka małe, twarde i kwaśne.

Tych kilka dorywczych uwag rzucam na początku niniejszego sezonu teatralnego jako temat do rozmyślań dla naszych młodych i tak utalentowanych (i cokolwiek rozpieszczonych) aktorów płci obojga, bowiem nic pewniejszego nad to, że z łatwością i prędko odrobią drogi czas stracony, jeżeli tylko szczerze tego zechcą.

„NOC LISTOPADOWA",

dramat Stanisława Wyspiańskiego w teatrze Polskim. Reżyserowała Stanisława Wysocka, dekoracje Karola Frycza.

Imponujące przedstawienie *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego dała p. Stanisława Wysocka w Teatrze Polskim. Pani Wysocka i pan Karol Frycz. Nigdy jeszcze *Noc listopadowa* nie była tak znakomicie wyreżyserowana i nigdy tak efektownie po malarsku wystawiona.

Reżyserka tego arcypoetyckiego widowiska, p. Stanisława Wysocka, z wielką siłą inkarnowała boską postać Pallas Atene. Pełnym żarliwego zapału patryjotycznego był p. Jerzy Leszczyński w roli twórcy powstania. Cokolwiek może za prostaczą wybuchowością obdarzył figurę wielkiego księcia Konstantego pan Dominiak, ale nie bez winy autora. Uroczą małżonką, wielkiego księcia była p. Pancewiczowa, królewska w postawie, kobieca w spojrzeniu, powabna w zagadkowych wibracjach głosu.



Obraz IX: Teatrum króla Stanisława Augusta w Łazienkach *Fot. St. Brzozowski*



P. Tadeusz Herse projektuje nowy model sukni balowej

WELL

Z ZA KULIS MODY

Każdy przygląda się z przyjemnością, niemal z zachwytem, ładnie, w każdym calu właściwie ubranej kobiecie, bardzo jednak rzadko znajdzie się ktoś, ktoby się zastanowił nad tem skąd się to wszystko bierze, jak powstaje.

Zaczyna się to już w Paryżu, kiedy wśród tysięcy przeróżnych, przeważnie bardzo pięknych modeli, wybierają te, które naprawdę zasługują, aby je przenieść na bruk syreniego grodu.

Kierownik wielkiego domu mody ma stanowisko naprawdę odpowiedzialne. Musi się nieustannie liczyć z gustem klijenteli, a nie może mu schlebiać, gdyż spowodowałoby to ogólne obniżenie poziomu. Model od Hersego musi być zawsze tym szczytem wykwintu, o którym marzy i do którego stara się dociągnąć każda z pań. Takie efekty, niewybredne zestawienia są zgóry, raz na zawsze wykluczone. Model od Hersego — to sankcya, to absolutna gwarancja doskonałego kroju, świetnego materjału i wypróbowanego smaku. Na tem można polegać jak... no, jak na Hersem.



P. Adam Herse, dyr. zarządzający firmy Bogusław Herse, już dzisiaj przegląda nowe wzory materjałów na sezon wiosenny.



Fot. D'ORA
Paris

To też kolekcja modeli, tak starannie, z tak głębokim namysłem wybranych w Paryżu, już na miejscu w Warszawie, podlega w kopjowaniu przeróżnym warjantom, podobnie jak zasadnicza melodja w rękach wirtuoza. W zależności od postawy i stylu urody klijentki, upraszcza się linję modelu, lub też komplikuje. Stosuje się pianissiomo i forte, słowem tworzy, współtworzy z paryskim twórcą oryginału.

Zdarza się też, że polski grand faiseur ujmie własnoręcznie nożyce i stworzy oryginalny model polski. Polski oczywiście, nie w tym sensie, żeby miał być podobny do kontusza czy krakowskiej kierezyi, polski tem, że jest kreowany przez Polaka w Polsce, ale nie odbiegający od ogólnie przyjętej w Europie linji. Tyle, że lepiej przystosowany do warunków klimatycznych.

Hersowskie okrycia mają swą ustaloną tradycję. Są one owocem wieloletniej współpracy Warszawy z Paryżem. Obywatelski stosunek firmy Herse do wytwórczości krajowej, zaznacza się w całej pełni w tem, że Herse jeden z pierwszych zastosował polskie wyroby włókiennicze i demonstrował je podczas swych, gromadzących całą wytworną Warszawę, pokazów. Produkcja Hersego uwzględnia wszelkie skale życia i wymagań i wszystkie skale zarobków.





Wzory magazynu „Aleksander” Nowy-Świat 41

WELL

GWIAZDKA

Słyszałam, że pewien mąż (takie pomysły miewają tylko mężowie) wziął tak dalece do serca głoszone wszędzie hasło oszczędności, że kupił żonie na gwiazdkę — skarbonkę. I co? I oczywiście dostał skarbonką w łeb, ale co najdziwniejsze — głowa wyszła bez szwanku, a skarbonka stłukła się na miazgę.



Piękna p. Maryla Woyno została zaangażowana do polskiej wersji jednego z filmów wytwórni „Paramount”

A zresztą niema w tem nic dziwnego, bo tylko w całkiem zakutym łbie mogła powstać myśl przywoływania kochanej kobiety do rozsądku. Kobiety kochane są i muszą być rozkosznie kapryśne, nieobliczalne i nie umiejące liczyć się i liczyć, irracjonalne, pieszczone i rozpieszczone. Rozsądnemi mogą sobie być te inne, których nikt nie kocha.

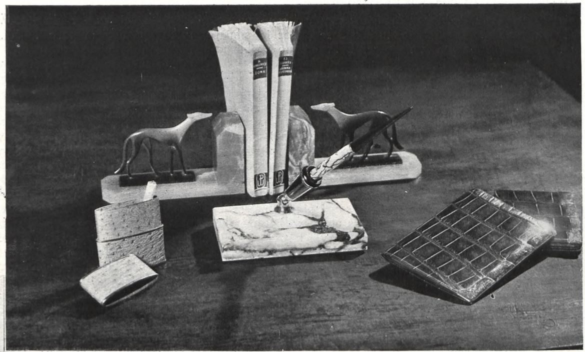


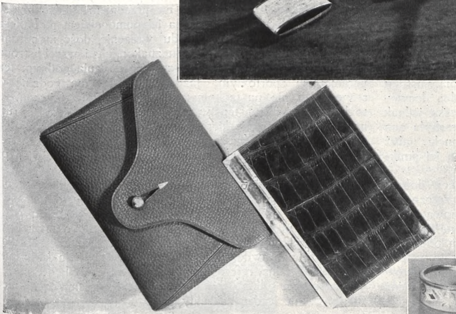
Każdą Panią zadowolni flakon doskonał perfum „Vendôme”

W małżeństwach i rodzinach kochających się, można od biedy robić oszczędności (trudno, ale można) lecz nie należy broń Boże! *mówić* o konieczności oszczędzania. Rzeczą stwierdzoną jest, że nałogowi rozrzutnicy są zwykle dziećmi ludzi chorobliwie oszczędnych. Ciągłe prywacje i przymus wysłuchiwania nudnych i jałowych morałów na temat oszczędności, rozwijają w ludziach młodych nieprzezwyciężony wstręt do tej, wątpliwej zresztą, cnoty.

W małżeństwach i rodzinach kochających się, powinni ludzie starać się robić sobie wzajemnie jak najmniej przykrości i jak najwięcej przyjemności. Poświęcając sprawom błahym na pozór więcej uwagi, mogliby się kochać znacznie dłużej i o wiele przyjemniej. Naprzykład taki uświęcony, a cokolwiek zbanalizowany przez tradycję, zwyczaj, jak prezenty gwiazdkowe, może być w równej mierze źródłem nudnego przymusu jak i szczerej radości, i to zarówno dla obdarowującego jak i dla obdarowanego.

Nie należy tylko nigdy nic kupować „na odczepnego", na „aby zbyć", dlatego tylko, że tak „wypada". Nie należy również przypuszczać, że zrobić przyjemność może jedynie podarunek bardzo kosztowny (choć zdarzają się wśród naszych najbliższych materjalistki i materjaliści). Na szczęście jednak sporo jest jeszcze na świecie ludzi miłych i dobrych, których drobny upominek, wybrany z szczególną intencją zrobienia im przyjemności i doskonałą znajomością ich gustu, znacznie bardziej ucieszy, niż dar bezmyślny a okazały.





Co zatem kupić na gwiazdkę? Ha, jak komu. Szczęśliwy narzeczony ślicznej panny Klary, powtarzającej jak jej pierwowzór fredrowski: — Krokodyla daj mi luby! — Powinien nie zwlekając podążyć po krokodylową torebkę do Aleksandra. Kiedy zostanie szczęśliwym małżonkiem, będzie mógł również ofiarować krokodylowe pantofelki od Leszczyńskiego. Na razie, w stanie narzeczeńskim — nie wypada. Ale zato, zarówno mąż jak i narzeczony znajdą u tegoż Aleksandra, ogromny wybór prześlicznych naszyjników, bez których, jak powszechnie wiadomo, żadna najpiękniejsza toaleta nie jest do włożenia. Z takiego naszyjnika każda, najkapryśniejsza nawet pani, będzie niewątpliwie rada, nawet jeżeli otrzyma kilka rozmaitych.

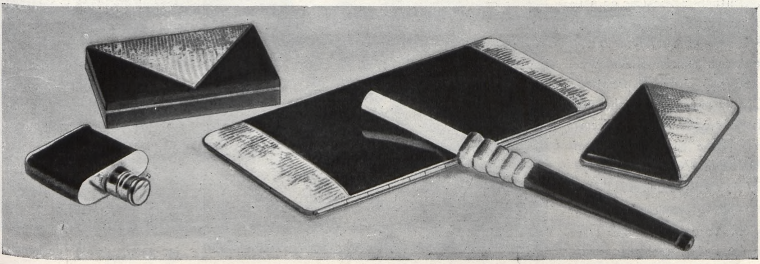


Podarunki praktyczne, ciężko, po niemiecku praktyczne, jak piórniki ofiarowane dzieciom w wieku szkolnym, przez pomysłowych rodziców, mogą stać się źródłem pewnej oszczędności w domowym budżecie, lecz nigdy nie będą dla nikogo źródłem przyjemności. Nie sprawią też przyjemności nikomu upominki kwalifikujące się do natychmiastowego wyrzucenia.

Istnieje specjalna kategorja przedmiotów nadających się na prezenty gwiazdkowe, są to urocze drobiazgi, owe „petits riens", na które każda z nas miewa ochotę, ale które rzadko same sobie kupują, bo taką rzecz najprzyjemniej jest właśnie otrzymać od kogoś miłego w upominku.

Tyle o drobnych upominkach, jakiemi krewni i przyjaciele w upojeniu nawzajem zasypią się niewątpliwie w nad-

(Ciąg dalszy na str. 34)



Wszystkie wzory magazynu „Aleksander" Nowy-Świat 41

panie Baczewska i Podhorodeńska nie mogły liczyć na nagrody indywidualne, gdyż konkurencja ze znacznie silniejszym Daimlerem pani Koźmianowej była mocno problematyczna.

W drugiej niespodziance raidowej wziąłem udział dość bezpośredni. Na 318-m kilometrze od Warszawy, na pięknie utrzymanej szosie w powiecie Prużańskim, jakiś złośliwy gwóźdź uczepił się jednej z opon. Maszyna zarzuciła, wpadła do rowu i lekko przygniotła nas do pięknej zielonej murawy.

Mimo dość gwałtownego wstrząsu żadna z zasadniczych części maszyny nie uległa poważnemu uszkodzeniu. Po doraźnem wyprostowaniu błotników (sposobem ręcznym — doniosły polski wynalazek!) pani Zajączkowska ruszyła w dalszą drogę i trzymając się ściśle przepisanej przeciętnej szybkości przebyła 150 kilometrów do końca etapu w Białymstoku. Następnego dnia ambitna kierowczyni ruszyła nawet na drugi etap, wszakże stan zdrowia jej pomocnika p. Tytusa Grzędzicy, który pokrajał się odłamkami szyby przy wypadku, zmusił panią Zajączkowską do zrezygnowania z dalszej jazdy.

Na drugim etapie miałem możność przyjrzeć się bezpośrednio kierowczyni, dotąd nam prawie nieznanej — pani Emmie Stałowskiej z Katowic. Maszyna Praga-Alfa, którą znałem przedtem tylko ze słyszenia rozwijała na tym etapie szybkość nadspodziewanie wielką. Jeszcze w Białymstoku mówiono mi, że wszystkie Pragi idą z maksymalną dozwoloną szybkością, na przeciętną 60. Panią Stałowską jednak i ta przeciętna nie zadawalała. Jednym tchem przebyła ona cały etap i dopiero w lesie przed Wilnem stanęła, gdyż przybycie na etap z przeciętną ponad 70 groziło jej punktami karnemi.

Pod Landwarowem, na odcinku wąskiej lecz dobrze utrzymanej szosy odbyły się próby szybkości i zręczności. Tryumfowała w obu próbach pani Koźmianowa, poza wielką umiejętnością rozporządzająca najbardziej silną i szybką maszyną w raidzie. Drugiem i trzeciem miejscem podzieliły się panie Baczewska i Stałowska. Ponieważ jedynie w tych próbach zawodniczki mogły zyskać większą ilość punktów dodatnich, pierwsze miejsce w ogólnej klasyfikacji było już przesądzone na korzyść pani Koźmianowej.

Trzeci etap raidu — z Wilna do Warszawy był już tylko spełnieniem formalności. Zarówno zawodniczki, jak i maszyny były w tak dobrej formie, że żadnych defektów ani niespodzianek nie można było się spodziewać. Na czoło raidu wysunęły się znowu Pragi. Te czesko-polskie maszyny (fabrykowane już w większej części w Polsce, w Oświęcimie), jak już zaznaczyłem na wstępie, spisały się w raidzie pań znakomicie. Od samego początku aż do końca manifestacyjnie szły z najwyższą dozwoloną przeciętną szybkością i przebyły wszystkie trzy etapy bez najmniejszych defektów.

Trzeci etap miałem zaszczyt i niewątpliwą przyjemność przebyć w komfortowej limuzynie, prowadzonej przez panią Baczewską. Samochód ten był nieodpartym magnesem dla wszystkich kontrolerów i nawet władz raidowych na każdym postoju. Oficjalną atrakcją był piesek pani Baczewskiej, z podziwu godną wytrzymałością towarzyszący jej w raidzie. Piesek ten noszący imię Bary (rasy tak skomplikowanej, że bez błędu nie umiałbym jej powtórzyć) był wymiaru kieszonkowego i podróżował na przedniem siedzeniu, ściśnięty pomiędzy kierowczynią a jej pomocnikiem p. Kuleszą. Sądzę, że Bary wyniósł z raidu wrażenie dość monotonne.

Pani Baczewska, do raidu znakomicie i wszechstronnie przygotowana, prowadziła maszynę z uznania godnym temperamentem sportowym. Jazda ponad sto na godzinę (na stoperze, a nie na tachometrze) na limuzynie Citroen, — na to bez fatalnych następstw może sobie pozwolić tylko rutynowana i opanowana kierowczyni. Jakoż cało i zdrowo stanęliśmy u bram Warszawy, witani uroczyście przez stroskane władze klubowe i automobilistki, którym przeciwieństwa losu nie pozwoliły wziąć udziału w raidzie.

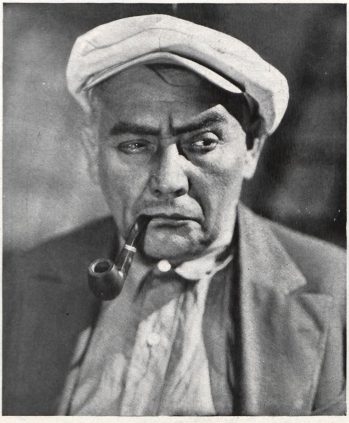
Nazajutrz w gościnnych salonach Automobilklubu rozdawano nagrody. Poza nagrodzonemi kierowczyniami solenizantem był p. Józef Grabowski, który z podziwu godną ofiarnością prowadził wszystkie raidy pań. Po przemówieniach oficjalnych nastąpiła część nieoficjalna, obfitująca w emocje naprawdę niezwykłe. Ponieważ jednak była to część nieoficjalna, referować tych wydarzeń nie będę. Niech wiedzą o tem tylko wtajemniczeni, a niewtajemniczeni niech żałują, że nie jeżdżą na raidy pań. *i. k.*

„ULICA",

dramat E. Rice'a w teatrze „Ateneum". Reżyserował Stefan Jaracz, dekoracje J. Lorentowiczówny

Nadspodziewany sukces «Zemsty» Fredry w teatrze «Ateneum» zaliczał się do najciekawszych zjawisk w bieżącym sezonie teatralnym. Z tem większem zaciekawieniem wyczekiwano następnej premjery. Obawy przyjaciół i ciche nadzieje wrogów teatru, iż «Zemsta» będzie jedynym wysiłkiem twórczym «Ateneum», rozprysły się z wystawieniem «Ulicy».

Nową premjerą Jaracz dowiódł, że potrafi dobrze prowadzić teatr, realizując swój plan zupełnie konsekwentnie.



Stefan Jaracz *Fot. St. Brzozowski*

Niewiele we współczesnym repertuarze znajdziemy sztuk równie trudne zadania stawiających reżyserowi. Sztuka, w której równorzędnie z rolami zasadniczemi powinien grać (a nie statystować) cały zespół, wypadłaby blado w teatrze pozbawionym tego twórczego zapału, jaki panuje w «Ateneum». Młodzi aktorzy z imponującą starannością opracowali swe epizody, wydobywając głębokie akcenty ze swych nikłych ról.

Rola Jaracza składała się właściwie z kilku melodramatycznych epizodów. Znakomity ten artysta zagrał ją z ekspresją niepospolitą, uzupełniając galerję swoich doskonałych kreacyj scenicznych.

U THONNESA

Trzy wielkie okna od ulicy Traugutta dobrze są znane najszerszej publiczności. Wewnątrz odbywa się misterjum dostępne dla nielicznych wtajemniczonych. Wytworne saloniki-przymierzalnie. Prześliczne i przemiłe ekspedjentki krzątają się bezszelestnie. Kierowniczka firmy, pani Grotowska, z wdziękiem robi honory domu.

Kolekcja bogata i urozmaicona. Na początek sukienki przedpołudniowe z tweed'u, jersey tweed'u i wełnianej żorżety. Arcyszykowne jumper'y i sweater'y— spécialité de la maison.

Na popołudnie — suknie, comme de raison, czarne. Ciężkie, mięsiste crêpe satins i marocain'y. Doskonały krój uwydatnia zarys biustu i wcięcie talji, każąc tkaninie miękko opadać ku dołowi w kunsztownych godetach.

Dyskretne ewokacje stylu Biedermayer, winterhalterowskich berł cesarzowej Eugenji, oraz tego uroczego, niemieckiego empire'u, który wiedeńczycy zowią «Königin Louise Stil». W tym stylu utrzymana jest pełna dystynkcji sukienka popołudniowa—czarna, z wąziuchnym gronostajowym krawatem i maleńką mufeczką.

Wyraźniej zaznacza się modna tendencja do stylów czasów minionych, w kolekcji toalet wieczorowych. Krynolinki budowane z falbanek taftowych, tiulowych i koronkowych. Pełen wdzięcznej zalotności szczegół—aksamitne manszetki, noszone do toalet balowych, zastępujące rękawiczki.

Przy sukni z czarnej dentelle cirée, manszetki z czarnego welour'u. Przy krynolince z koronki grège—bronzowe. I tu, i tam—szeroka aksamitna szarfa, związana z tyłu w kokardę—motyla. Okrycia wieczorowe z bogatych brokatów i pięknych rebur'ów. Jedne krótkie ledwie dochodzące do bioder, inne znów bardzo długie, sięgające z tyłu kostek, wcięte w talji, zda się kopjowane ze starych portretów. Wszystkie bramowane kosztownemi futrami. Oryginalny, cokolwiek niedyskretny dekolt wspaniałej toalety z czarnego velour'u, przysłania malownicze sortie z szkarłatnego aksamitu.



Sortie de bal
Model: Anna Thonnes, Traugutta 6

Podziwiam niezawodny smak, który umiał z różnorodnych tendencyj kapryśnej i czasem niewybrednej Pani Mody, wybrać tyle rzeczy estetycznych i harmonijnych, a przytem tak doskonale dostosowanych do najrozmaitszych towarzyskich wymagań, towarzyskiego życia stolicy.

— To gust dyrekcji.

— Czyli?...

— Pana Stefana Thonnesa, no... i mój—dodaje skromnie pani Grotowska.

— A ceny tych wszystkich wspaniałości? Zapewne bardzo groźne?

Pani kierowniczka uśmiecha się pobłażliwie.

— Niekoniecznie. Już od 200 złotych można nabyć u nas ładną sukienkę popołudniową. Zresztą biorąc pod uwagę ogólne konjunktury, zaczynamy od 8-go grudnia Sprzedaż Gwiazdkową, ze zniżką od 25% do 50% na wszystkiem, nie wyłączając ostatnich modeli.



Suknia wieczorowa
Model: Anna Thonnes, Traugutta 6

— No, to prawdziwy prezent gwiazdkowy dla Warszawy. Obawiam się tylko, aby nie był dla państwa zbyt kosztowny.

— Jakoś to przetrzymamy. Stara z nas firma. W roku 1936 będziemy obchodzić setną rocznicę istnienia. Zamiast kosztownego i nudnego bankietu zamierzamy złożyć ofiarę na jakiś cel społeczny.

— Będzie to naprawdę po obywatelsku. A teraz jeszcze jedno pytanie: Skąd państwo biorą te wszystkie piękne modele? Paryż czy Wiedeń?

— I Paryż i Wiedeń. Ale staramy się przywozić jaknajmniej kosztownych modeli, a jaknajwięcej rysunków, aby dawać jaknajwięcej pracy polskim pracownicom igły, a wywozić jaknajmniej polskich pieniędzy zagranicę.



białym zamszem. Kunsztowne inkrustacje i żyłkowania, robią ze zwykłego, spacerowego pantofelka, dzieło sztuki.

Ciżemki wieczorowe z crêpe satin i crêpe de chine'y w kolorze toalety. W tym roku mój panie, trudno będzie opędzić cały karnawał jedną parą srebrnych lub czarnych pantofelków. Pani Moda nakazuje bezapelacyjnie ścisłą łączność między suknią a pantofelkiem. Nie skarżymy się. Są one tak śliczne, że choćbyśmy posiadały tuzin par, zawsze będziemy namiętnie tęsknić... do trzynastej.

Leciutkie sandałki, tak ażurowe, iż nie sposób pojąć tajemniczej siły, która je na nóżce utrzymuje, czółenka na brylantowych obcasikach, klamry ze strass'ów olśniewających jak brylanty najczystszej wody... Doprawdy trudno opisać błękitny salon wielkiego czarodzieja Leszczyńskiego.

Święty Mikołaju! Przynieś mi na gwiazdkę pantofelki od pana Lucjana i nie mów mi, że to zbytek — te filigranowe cacuszka nigdy nie tracą fasonu i są nie do zdarcia. Kupowanie w pierwszorzędnych firmach jest najlepiej zrozumianą formą oszczędności. *Well.*

U LUCJANA LESZCZYŃSKIEGO PRZED GWIAZDKĄ...

W błękitnym salonie u Lucjana Leszczyńskiego ruch wzmożony. Nic dziwnego. Jeżeli sława pantofelków mistrza dotarła do uszu egzotycznej księżniczki Ki-Ku-Ko, trudno żeby rodowite warszawianki nie wiedziały kto najlepiej potrafi uwydatnić przysłowiowy urok ich nóżek.

— Co za nowości, mistrzu?—Pan Lucjan, z właściwą artystom skromnością, zaciera ręce i powiada, że tylko końce obuwia są cokolwiek wyższe, obcasiki wieczorowych pantofelków wyższe, a zresztą po staremu. Trzeba go wyciągać na słówka. Po dobrej chwili dopiero rozkrochmala się i pokazuje nowości naprawdę sensacyjne: lakierowane skóry rekinów, czarne, bronzowe, rdzawe, granatowe i ciemnozielone, bardzo błyszczące, tające pod warstwą lakieru jakąś metaliczną migotliwość, jakgdyby były przesypane złotym piaskiem.

Skóry ptasie naturalnie żeberkowane w półokrągłe łuski. Są skórki ptaków egzotycznych, trudno dociec jakich mianowicie.

A potem — pantofelki. Misterne połączenia czarnego reniferu z cieniowanym wężem. Lakieru z matowym,



P. Lucjan Leszczyński, którego obuwie cieszy się wielkiem wzięciem w sferach elity towarzyskiej, w swoim salonie

Fot. St. Brzozowski

WINCENTY RAPACKI

MÓJ OSTATNI WIELBICIEL



Wczoraj spotkał mnie pewien wytworny Mohikanin warszawski — wielki mój wielbiciel, starej daty meloman i przywitał temi słowy:

— Jak się pan ma? Cóż nam pan nowego pisze?

To «nam» było dawniej bardzo modne. Do malarza mówiło się: Co nam pan maluje? Do muzyka: co nam pan tworzy? Mohikanin przypomniał sobie dobre czasy i użył tego pięknego zwrotu do mnie. Naturalnie zaczerwieniłem się, boć przecie, że jestem skromny, stwierdził to dokładnie, dowiódł w swoim feljetonie i własnoręcznym podpisem opatrzył znakomity publicysta, poeta i powieściopisarz Kornel Makuszyński.

— A zatem kochany artysto, jak się żyje? co się robi? — kontynuował meloman z pobłażliwym uśmiechem.

— Sie ji, sie pisze, sie gra — odpowiedziałem.

— Mistrzu! — wybuchnął mój wielbiciel.

Tu potrzebny jest komentarz.

Niektórzy dawni moi znajomi mówią do mnie: mistrzu. Niech to jednak nikogo nie przeraża. Każdy ma swoje kółko wielbicieli. Ja sobie ułatwiłem w ten sposób, że jestem kompozytorem i literatem. Literaci uwielbiają moje kompozycje a muzycy moje komedje. Jest i wilk syty i owca cała.

— A więc, mistrzu — zawołał meloman. Musi to być wielka przyjemność tworzyć postacie i widzieć je potem na scenie.

— Tak, rzeczywiście, to jest przyjemność.

— A to się cieszę, bo wyobraź pan sobie, że mój syn napisał dramat.

Stosowna chwila do rozstania się z moim wielbicielem nadeszła.

— Winszuję, winszuję i dowidzenia, bo pędzę na próbę.

— Aha. Do pracy. Bardzo słusznie... Tylko niech mi kochany mistrzunio poradzi co z tym fantem zrobić?

— Z jakim fantem?

— No, z tym dramatem, bo to podobno najgorsza rzecz staranie się o protekcję.

— Proszę pana, najgorsza rzecz już się stała a mianowicie napisanie dramatu. Dalsze konsekwencje już nie są tak groźne. Poprostu zaniesie pan egzemplarz do dyrekcji ażeby uzyskać aprobatę.

— Aha, więc muszę mieć dwa egzemplarze.

— Poco? U nas są wszelkie ułatwienia. Może pan zanieść egzemplarz «Ptasznika z Tyrolu» albo «Intrygę i miłość» co tam pan będzie miał pod ręką,



Model futra oraz fragment sklepu firmy Karmazyn przy ul. Marszałkowskiej 138

Fot. St. Brzozowski

aby tylko na okładce zmienić tytuł... Przecież i tak nikt tego czytać nie będzie.

— Przepraszam. A dlaczego pańskie sztuki wystawiają? Pan napewno nie posyła do dyrekcji: Ptasznika z Tyrolu?

— Widzi pan — odpowiedziałem niezmieszany — przedewszystkiem, nie pisuję dramatów, a po drugie, przyznaję się, że jestem trochę podstępny.

— Cóż to znaczy?

— Ja sam czytam moje utwory dyrektorowi.

— Aha.

— A ponieważ jako aktor czytam dobrze, więc wszystko idzie jak po maśle. Tak być musi. Sztuka jest jak cygaro. Powinna się dobrze odleżeć. Więc leży sobie taki egzemplarz wygodnie w szafie i czeka na konjunktury.

— Długo czeka?

— To zależy. Czasem tylko rok, czasem dwa, aż nagle przychodzi taki dzień, że niema co grać. Wtedy otwiera się szafę, wyjmuje się odleżały egzemplarz i autor się cieszy.

— No ja myślę.

— I jak zwykle, cieszy się zawcześnie.

— Dlaczego?

— Zaraz panu powiem. Naznaczają czytaną próbę, aktor mający odtworzyć główną postać oddaje rolę.

— Jakto oddaje?... to źle.

— Przeciwnie, to bardzo dobrze, bo w ten sposób daje znać o sobie. Urządza taki rwetes teatralny, taki zakulisowy harmider. To jest bardzo dobra reklama... Znakomity system aby pokryć braki swojego względnego talentu.

— To ja panu powiem, że przed wojną było lepiej.

— A ja panu powiem, że pan się myli. Wogóle wy, przedwojenni ludzie, jesteście nieznośni. Ciągle wam się zdaje, że przed wojną było lepiej.

— A tak. Bo przed wojną królowało natchnienie, a dziś króluje rozum. A wszystko co płynie z mózgu, jest wyrafinowane, przemyślane i wymęczone. A zatem, bez po-

lotu, bez skrzydeł. Poezji nie można robić, musi ona wystrzelić jak słup ognisty — prawił dalej meloman.

— Pięknie, bardzo pięknie, ale właśnie dlatego, że pięknie, to nie na dzisiejsze czasy.

— Widzi pan, dawniej, poeta się zamyślił, a natchnienie przyszło, siadło na drewnianej poręczy krzesła i szeptało poecie nieznane dotąd wyrazy które poeta nakreślił i czarował świat. Potem natchnienie poszło do muzyka.

— Siadło na starym fortepianie?

— Widzę, że pan bierze to za żart.

— A jakże inaczej?

— Tak. Pokaż mi pan dziś jedną operę nową z której po wyjściu z teatru mógłbym sobie coś zanucić. I pan to nazywa muzyką?

— Kiedy pan miesza pojęcia. Muzyka jest co innego, a melodja co innego. Myśmy sobie uroili, że w muzyce musi być melodja. Tak samo, jak dawniej na scenie anglik musiał mieć faworyty a hrabia getry. A dziś inaczej. Anglik jest bez faworytów, hrabia bez getrów a muzyka bez melodji.

— Więc co pan nazywa muzyką?

— Sądzę, że muzyka jest to zbiór dźwięków, które mają być wyrazem myśli kompozytora.

— W takim razie trzaskanie drzwiami, gwizd lokomotywy to także muzyka?

— Drogi panie. Poco ta przesada? Wszystkie nowe prądy w dziedzinie sztuki zawsze były przyjmowane nieprzychylnie. Ręczę panu, że za lat pięć Szymanowski będzie dla nas taki jasny jak: wlazł kotek. Wiadomo panu, że już Piccini walczył z Glückiem o melodję. Że Aida była wygwizdana w Medjolanie dla braku melodji. Że Carmen zrobiła klapę w Paryżu z tego samego powodu. Ale poco szukać tak daleko. «Zemsta nietoperza», ukochanego przez Wiedeń Straussa, nie zachwyciła słuchaczy. Teatr na pierwszych przedstawieniach świecił pustkami. Dopiero po niezwykłem powodzeniu tej komicznej opery w Berlinie zawstydzony Wiedeń przekonał się do tego arcydzieła.



Ja mam tylko zaufanie do Bernharda, moje panie!



Przy kolacji czy obiedzie Jego trunek — nie zawiedzie. Zula Pogorzelska

Zula Pogorzelska, artystka teatru „Morskie Oko"



Wysoki gatunek win oraz koniaków, sprowadzanych przez Dom Handlowy Antoni Bernhard (Al. Jerozolimska 25), zjednały mu uznanie connaisser'ów



P. Helena Penkalska



P. Angelika z Młynarskich Müntzowa

To też to źle, że pan nie widzi.

Zauważyłem, że Mohikanin przestał mi mówić mistrzu. Trudno nie mogę zmienić moich przekonań. Muszę być szermierzem postępu.

— Szanowny panie. Niech pan posłucha. Dawniej było kilka gwiazd, a dziś jest ich legjon. Dawniej zachwycaliśmy się jednostką, a dziś zespołem. Zespół sceniczny to orkiestra. Nikt nie może się wysuwać naprzód i zagłuszać drugiego, bo to psułoby całość.

— Co mi pan opowiada — wrzasnął już silnie zdenerwowany mój wielbiciel. Takiego zespołu jak za czasów Żółkowskiego nie było w Europie. To była orkiestra nad orkiestrami. Tylko, że na klarnecie nie grał szklarz a na flecie introligator, jak to się zdarzyło w pewnym teatrze.

Zwarta siła bojowa, złożona ze starych wiarusów i młodych zapaleńców zwyciężyć musiała najoporniejszych. Każdy z szanujących się artystów miał sobie za punkt honoru z małej roli zrobić dużą. Oddanie roli, to kapitulacja, to dezercja. To przyznanie się do słabości. W «Wicie Stwoszu» pańskiego Ojca, tytułową rolę odtworzył Królikowski. A mniejsze role grali: Modrzejewska, Tatarkiewicz, Rakiewiczowa, Leszczyński, Szymanowski, Stolpe, Rapacki (autor) Chomiński, Ostrowski, i najmniejszą, niewdzięczną rolę w jednym akcie Żółkowski. Pytam się pana czy to był zespół czy nie.

— Nie przeczę, ale...

— Jeszcze ale? Bądź pan zdrów. Wasza świątynia się chwieje, bo sami ją podkopujecie.

Odszedł nieprzekonany, straciłem ostatniego wielbiciela.



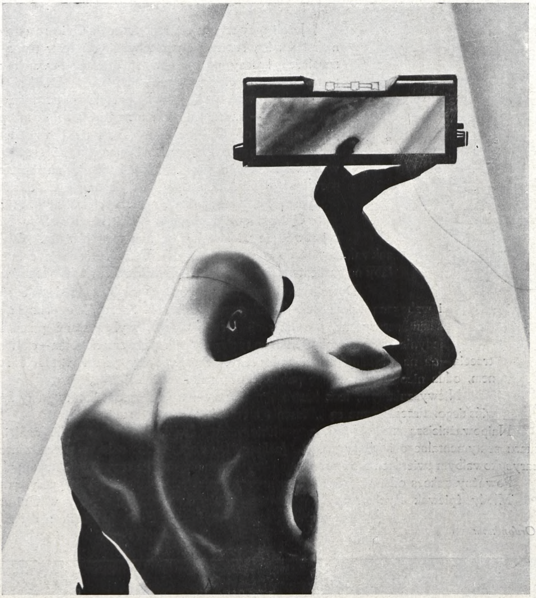
Pani Mara Gabrjeli artystka teatru „Wesoły wieczór" w efektownem futrze firmy „L'Hiver"

GWIAZDKA (dok.)

chodzące święta Bożego Narodzenia. Nie wyczerpują one bynajmniej sprawy prezentów serjo, solidnych darów jakie zamożni ojcowie, względnie starsi mężowie winni są składać swym córkom i żonom. Może to zawsze być coś z biżuterji, co nie wychodzi z mody i stanowi niezgorszą lokatę kapitału. Mam oczywiście na myśli klejnoty nietyle artystyczne ile prawdziwe. Chociaż niejedna z pań będzie wolała futro. Nie spacerowy, użytkowy płaszczyk z foków lub karakułów, to by było zbyt praktyczne, i powinno było być sprawione jeszcze w sezonie jesiennym, ale jakąś rozkoszną futrzaną fantazję, np. lisa srebrnego lub niebieskiego, dwa lisy: czarny i biały złączone w jedną etolę; komplet z gronostajowego krawata i maleńkiej mufeczki, wreszcie krótką, fantazyjną zarzutkę z któregoś z najszlachetniejszych futer, jak gronostaje, sobole, szenszyle lub breitszwantze. Taka gwiazdka podobałaby się niewątpliwie każdej z pań.

A przecież, a przecie... są i takie istoty niepojęte i nienasycone, które najchętniej przyjęłyby w upominku gwiazdkowym od męża: paszport zagraniczny, bilet kolejowy i czek; a zamiast życzeń świątecznych słowa: wrócić kiedy i o ile ci się spodoba — są i takie kobiety dziwne, nadewszystko spragnione swobody i, choćby pozornej niezależności. Znam niejedną.







Hanka Ordonówna

„CZYSTA WYBOROWA",

rewja w teatrze Qui-pro-quo.

Jeżeli przyjrzymy się repertuarowi Qui-pro-quo na przestrzeni ostatnich kilku lat, stwierdzimy niechybnie, iż teatr ten z podziwu godną wytrwałością kroczy po raz obranej drodze. Powstają w Warszawie nowe teatry rewjowe, cieszą się mniej lub więcej trwałem powodzeniem, starają się przelicytować w bogactwie pomysłów inscenizacji, w ilości artystów i statystów, — żaden jednak nie zaskarbił sobie tak przyjaznego stosunku publiczności, co Qui-pro-quo. Teatr ten dawno mógł wyprowadzić się z cokolwiek ponurych podziemi, powiększyć zespół i wystawiać okazałe widowiska. Tymczasem jedyną koncesją na rzecz wystawy są zawsze gustowne, doskonale przemyślane dekoracje Galewskiego. Reszta ciężaru pracy spoczywa na barkach nielicznych solistów, autorów, no i reżysera.

Qui-pro-quo daje rewje silniejsze lub słabsze, zdecydowanie chybionej rewji nie widzieliśmy w tym teatrze nigdy. Obecny program trudno zakwalifikować do rzędu najlepszych. Wszakże zawartość humoru w niej starczyłaby na zasilenie wszystkich dość licznych w Warszawie teatrów rewjowych.

Dowcip zrodzony w Qui-pro-quo szybko przedostaje się poza mury teatru i wzbogaca „powiedzionkami" gwarę stołeczną. Szczególnie cenny materjał stanowią piosenki satyryczne, po emigracji Krukowskiego, wykonywane przez Toma. Nużący jest jedynie sakramentalny szablon tych piosenek: pierwsza zwrotka—ogólna, druga—o kobiecie, trzecia—na na aktualny temat polityczny. Autor, który potrafi wreszcie zerwać z tym szablonem, odda nieocenioną usługę polskiej twórczości rewjowej.

Niewyszukanym, lecz beztroskim humorem tryska skecz „Satyr" grany koncertowo przez Lawińskiego. Przezabawne są „Piosenki kretyńskie" w wykonaniu Dymszy.

Najpoważniejszą atrakcją jest, oczywiście występ Hanki Ordonówny, doskonałej interpretatorki repertuaru sentymentalnego i patetycznego. Jakkolwiek wnosi ona ze sobą na scenę wartości nowe i ciekawe, zaryzykowałbym twierdzenie, iż praca na obcym gruncie tamuje rozwój talentu popularnej pieśniarki.

Poważny sukces odniósł chór Dana w szczególności przy wykonaniu tanga sympatycznego pryncypała.

Młody śpiewak Rychter szybko dostosował się do warunków pracy w Qui-pro-quo i stał się siłą pożyteczną. Drugi przybysz — Fuks, pozostaje nadal zagadką.



Zespół Tacjan-girls w rewji „Czysta wyborowa" Fot. St. Brzozowski

SZKARŁATNA RÓŻA (ciąg dalszy)

Nie życzył im zresztą żadnej katastrofy — czuł tylko, że jedyna sposobność wymyka mu się z rąk — a niepowtarzalność okazji najbardziej uspasabia do zuchwalstwa.

Los najwidoczniej mu sprzyjał. W pewnej chwili skinęła głową reszcie towarzystwa i z szelestem aksamitu, pachnąca i wspaniała, popłynęła w drugą stronę sali. Muzyka właśnie zaczynała bluesa...

„...całuję twoją dłoń, Madame!" — podchwycił melodję Glave i nachylił się nad podłużną dłonią nieznajomej.

Dłoń nieznacznie drgnęła w mocnej męskiej ręce.

— Nie znam się, maseczko — ciągnął dalej Glave — nie wiem nawet, czy rozumiesz po francusku.

— O tak! skoro mię pan nie zna — czegóż ci trzeba od nieznajomej?

— Twej tajemnicy, o pani! Tajemnicy twych perfum...

— Sekret perfum — to sekret ciała... Jakżeż go wydać obcemu?

— Jest na to sposób — niech obcy przestanie być obcym... Jestem Irving Glave, pani...

— A ja korzystam z przywilejów maskarady...

Dalszego przebiegu rozmowy Glave nie pamiętał ani nazajutrz, ani nigdy potem. Oderwane fragmenty nie łączyły się w całość, tylko w drażniące wszystkie zmysły doznania: głęboki chryzolitowy ton sukni — strzelanie raz po raz korków szampana — biel obrusa, przyciszona wdali orkiestra, dłonie pachnące zawrotnie (ach, „Narcisse noir") i głos, głos kobiecy, przemawiający tak pieszczotliwie, jak nikt dotąd nie przemawiał:

— ...to nieprawda, że jesteś Anglikiem... Anglicy są zimni, a ty jesteś mocny, gorący i piękny. Nie wiesz, jak bardzo jesteś piękny... Wyglądasz jak Hindus. Należało przyjść na maskaradę z obnażoną piersią — oliwkowo-miedzianą — z głową opietą turbanem, w którym tkwi jeden jedyny brylant... Musisz być smukły... o, Maharadżo...

Tryskał szampan — złociło się mrożone Chateau Yquem, w tęczowych kropelkach załamywały się migoty żyrandoli — pachniały złocisto-popielate włosy, w które napół przytomny „Maharadża" wszeptywał namiętnie:

— Chodź, chodź ze mną, maleńka... Maharadża otworzy przed tobą królewskie skarbce...

Dlaczego długo opierała się tak gwałtownie? I dlaczego potem rzuciła wyzywająco, aż zęby błysnęły poprzez koronkę maski:

— Dobrze, przyjdę sama. Ale teraz idź. I czekaj na mnie!

— „Claridge-Hotel", pokój 44...

Skłonił się jak gentleman — i choć wszystkie ściany załamywały się pod kątem, jak gdyby miały runąć, a w uszach dzwoniło od wypitego wina — możliwie szybko zbiegł z marmurowych schodów paryskiej opery — on, Maharadża, który tej jeszcze nocy posiądzie drugą tajemnicę — obok tajemnicy perfum...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Mijała czwarta... Wpół do piątej... Piąta... Wpół do szóstej... Oczy zawisły na tarczy zegara... — Serce, rozpięte na krzyżu czekania. — Wskazówka, która porusza się jednocześnie zbyt wolno i zbyt szybko, gdyż za każdym obrotem przybliża się do kresu, do twardego: „Napewno".

— Nie przyjdzie!... Zakpiła sobie ze mnie... zadrwiła! — kipiał w pasji...

Z oparów mętnych, oszołomionych winem myśli, zwolna zaczęły wypełzać człony logicznych wniosków i układać się w konstrukcję:

— Nawet nie pamiętam, czym jej powiedział, że mieszkamy oboje właśnie w tym samym hotelu. Może

(Dok. na str. 46)



Na Międzynarodowej Wystawie Hygjeny w Dreznie r. 1930, powszechną uwagę zwracała wieża Chlorodontu



Kazimierz Krukowski



Eugenjusz Bodo

«ZŁOTE SZALEŃSTWO»,

rewja w teatrze „Morskie Oko".

Reprezentacyjna scena rewjowa Warszawy w sezonie bieżącym mimo dostatecznego powodzenia kasowego i życzliwości krytyki przeżywa dość ostre przesilenie artystyczne. W poprzednich latach «Morskie Oko» w znacznej mierze zawdzięczało swoje powodzenie rozmachowi wystawy i bogactwu inscenizacji. Te czynniki wszakże nie mogą być wyłączną podstawą rewji na dłuższej przestrzeni czasu. Dowodem tego jest upadek kilku rewji paryskich i berlińskich. Przesilenie w «Morskiem Oku» jest właściwie echem przeżycia się wielkich, wystawnych rewji zagranicznych.

Zdając sobie z tego sprawę dyr. Włast w sezonie bieżącym wzmocnił swój zespół artystyczny, angażując Pogorzelską i Krukowskiego. Dzięki temu rewja przybrała na humorze, stając się widowiskiem pośredniego typu — pomiędzy music-hallem i kabaretem literackim.

W obecnej rewji p. t. «Złote szaleństwo», wielce gustownie i efektownie przez p. Jewniewiczową ubranej, na pierwszy plan wysuwają się właśnie popisy indywidualne.

Zanotować należy przedewszystkiem znakomitą groteskę Zuli Pogorzelskiej — «Gizella Chyś» i niezwykle trafną imitację Maurice'a Chevalier w wykonaniu Eugenjusza Bodo. Teksty piosenek Krukowskiego, acz niezawsze grzeszą dobrym smakiem, są naogół dowcipne i są wykonywane z właściwą temu artyście swadą.

Olsza ma popisy tylko w rolach charakterystycznych. Vera Bobrowska, w ubiegłym sezonie lansowana na stanowisko vedette, w bieżącym — jest z podziwu godną sumiennością usuwana na plan drugi i pozbawiona popisowych ról.

S. Nowicka wykonuje w jednym obrazie aż trzy tanga. Dzięki takiemu układowi żaden z motywów nie wypadł dostatecznie mocno, zaś obraz w całości przybrał charakter raczej operowy. Rocznicę Nocy Listopadowej postanowił teatr uczcić wkładką patrjotyczną. Bardzo dobry w ekspozycji, obraz ten w dalszym ciągu zatraca swą symbolikę i przybiera kształt całkiem baletowy.

Choreografja w rewji znajduje się na poziomie dobrym. Ela Antoszówna zdumiewa swą giętkością, umiejętnie w tańcach akrobatycznych wyzyskaną. Popisy duetu Ney zbyt mały wykazują postęp w rozwoju inwencji, wszakże ich popisy są zawsze nacechowane estetyką i precyzją wykonania.



Ela Antoszówna *Fot. St Brzozowski*

Zespół baletowy w wyniku kilkuletniej selekcji wydatnie polepszył się i jest wyzyskany bardzo intensywnie.

Błąd zasadniczy popełnił teatr, angażując zespół cyganów, bardzo względne mający pojęcie o teatrze i sztuce. Należałoby czemprędzej odstąpić ten zespół imprezie konkurencyjnej, następnie zaś gruntownie przewentylować i wyfiltować gmach teatru.

W dziedzinie muzycznej «Morskie Oko» nadal dzierży prym, lansując melodje, szybko zyskujące popularność.



P. Lena Żelichowska artystka teatru „Wesoły Wieczór" przy elektrycznej maszynie do szycia „Singer" *Fot. St. Brzozowski*

Przyrządy do lamowania, pikowania, obrębiania, marszczenia, wyszywania, plisowania i mereżki — czynią z takiej maszyny instrument nieoceniony bo uniwersalny

Ale najrozkoszniejsze jest to, że po skończonej pracy, laboratorjum niewieściej próżności się zamyka i, tam gdzie przed chwilą była maszyna do szycia, stoi niewielki, ozdobny stolik, wytworny mebelek mogący z powodzeniem figurować w najzbytkowniejszym buduarze najkapryśniejszej piękności. Cud? Nie. A zresztą owszem — cud nowoczesnej techniki, czyli jej ostatni wyraz.

A jeżeli kogo nie stać na nowy model? Jeżeli ktoś posiada maszynę Singera starego typu, w doskonałym jeszcze stanie? — No to nic łatwiejszego, należy poprostu zaopatrzyć dawną maszynę w nowy, elektryczny motor, jedna śruba przytwierdza go dostatecznie, a dalszą pracę wykona za małą opłatą elektryczność.

Czy nie genjalny wynalazek?

ELEKTRYCZNA MASZYNA SINGERA

Maszyna do szycia — mebel niezbędny w mieszkaniu każdej kobiety, niezależnie od tego czy jest to jedyny pokój skromny urzędniczki, która w chwilach wolnych od pracy zarobkowej szyje sama swoje sukienki i bieliznę, czy też wspaniały apartament pani dyrektorowej, w którym drobne poprawki na maszynie uskutecznia panna służąca.

Więc czy jest tak, czy też inaczej — maszyna jest niezbędna. Ale jaka? Oczywiście taka, któraby wymagała minimum wysiłku fizycznego, nie nadwerężała oczu, oszczędzała czas... a więc

MASZYNA ELEKTRYCZNA SINGERA
MODEL 306/1931



zapytać portjera? Ale — co ja wiem konkretnego o niej? Że jest piękna i że mówi po portugalsku? A może ma zazdrosnego męża?... A może... to wcale nie ta sama?... Może ją spotkałem w hallu Claridge?... Niema rady — trzeba czekać.

Lecz nikt nie przychodził.

Błądząc po pokoju (nawet zapach rozpylonej wody kolońskiej przypominał o nieporównanem z niczem męskiem czekaniu na kobietę) — Glave stanął przed lustrem. Z prostokątnych ram wyjrzała twarz — obca: o rozdętych nozdrzach, o ustach wykrzywionych pod krótko strzyżonym czarnym wąsem, o żyłach rozdętych na czole grymasem hamowanej wściekłości. Twarz czyjaś — nie własna — oliwkowo-miedziana, ponura, wschodnia...

— „Maharadża" — przypomniał sobie słowa śmiałej, zaborczej pieszczoty i tu mimo gniewu uśmiechnął się do siebie.

Zamknąwszy gniewnie drzwi na klucz, „Maharadża" rzucił się na łóżko, wtulił twarz w poduszki i natychmiast zasnął ciężkim snem bez marzeń.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zimowe słońce w pełnym blasku wtargnęło przez niezasunięte story. Glave drgnął. Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Była godzina wpół do dwunastej. Z trudem uprzytamniając sobie wrażenia poprzedniej nocy Glave spostrzegł przerażony, że spał cały czas... w białej balowej kamizelce.

W dole tętnił Paryż tempem cokolwiek słabszem, niż w zwykły dzień powszedni. Ranek zastał miasto przyciszone, odpoczywające po wczorajszem zbiorowem szaleństwie.

— Ach! cóż to?! Czyżby?... Tak, napewno!...

Przed wejściem do hotelu stoi wszak — sławetny Chrysler... Elegancki, rasowy, wymuskany, jak kobieta. Szofer wraz z małym lift-boyem w opiętej kurteczce przywiązują do tylnej części wozu podróżny kuferek.

Glave z pasją szarpnął drzwi — nie dawały się. Ach, prawda — sam zamknął je na klucz. Przekręcił klucz — pod drzwiami leżały jak w kałuży krwi — rozsypane płatki czerwonej róży...

Przygładzić włosy — zawiązać krawat — narzucić frak, futro — zbiec pędem po miękkim dywanie hotelowych schodów — wszystko to było dziełem jednej minuty.

Zdyszany Glave natknął się na właścicielkę samochodu właśnie w chwili, gdy stawiała nóżkę na stopniu. W obcisłym sportowym kostjumie, oblana nieszczędzącem światłem poranka, była zupełnie inna, niż wczoraj. Daleka — skórkowa — pachnąca podróżą.

Irving Glave wyciągnął bezradnie obie ręce.

— Lady... Czekałem tak długo... jak można było?... Dlaczego?...

Spokojne i piękne oczy, podkute błękitnym sińcem, rozświetliły przez chwilę matowość kremowej twarzy. Zatrzymały się na moment — i przypłynęły spojrzeniem gdzieś daleko, daleko ponad głową Irvinga.

Szarpnął się gwałtownie, nie zważając na obecność szofera, boy'a — całej ludnej ulicy:

— Jakto?... Przecież wczoraj nazywałaś mię twoim „Maharadżą"?... I ta róża? Róża — —

Wyciągnął rozpaczliwym gestem nadłamany kwiat— kwiat, który tkwił we drzwiach, jako oczywisty znak jej bytności.

W niedobrych oczach zastygło zielone światło, niby na powierzchni chryzolitu... Spokojnie zapinając rękawiczkę, nieznajoma wycedziła przez zęby:

— Nie przypominam sobie...

I drzwiczki samochodu zatrzasnęły się za nią gwałtownie.


SPRZEDAŻ
GWIAZDKO
WA
WE
WSZYSTKICH
DZIAŁACH
OD
1go GRUDNIA
Gronowski 30
BOGUSŁAW
HERSE

LENA SÖLM

SEKRETARZ Dr. MOLLIS

Nowela.

Siódmy kieliszek koniaku został wypity, trzeba było wstać od stolika. Mroczyły się, coprawda, jak zawsze, po alkoholu, jakieś żałobne strzępki buntu („nie iść, gwizdnąć na wszystko, niech sam sobie radzi..."), ale zaraz przyszło opamiętanie w trzeźwem skonstatowaniu, że dziś, piętnastego, jest już bez grosza, a w razie porzucenia posady — i bez dachu nad głową. Wilgotna i błyszcząca ciemność deszczem zlanych ulic dokonała reszty. Ucichło rozskowytane nad własną dolą roztkliwienie — drugi, po buncie, sojusznik wypitego koniaku — i, po kwadransie, do gabinetu Wydanowskiego wchodził nie żaden buntownik i neurastenik, ale opanowany i bardzo uprzejmy sekretarz dr. Mollis.

Praca u Wydanowskiego była, ściśle mówiąc, żadna. Do obowiązków sekretarza należało tylko jedno: pamiętać. Pamiętać kiedy, gdzie, kto, z kim, jak i poco. Cóż ten Wydanowski? trochę pozer, trochę blagier, bardzo snob i jeszcze bardziej bogaty. Mollis (dr. fil.) przez trzy lata swojego urzędowania najsmutniej myślał tylko o bezgranicznym komizmie tych pięciu liter przyczepionych po wieczne czasy do swego nazwiska. Bo i po co? Nie były mu potrzebne kiedy Wydanowski z pasją kolekcjonował jaja dzikich ptaków. Okazały się zbyteczne, gdy szef z jaj dzikich ptaków przerzucił się na statystykę słów najrzadziej spotykanych w krzyżówkach. Śmieszyły właściciela podczas, krótkotrwałej na szczęście manji Wydanowskiego, który, odkrywszy w sobie zdolności medjalne porozumiewał się przy pomocy specjalnie z Indji sprowadzonej, autentycznej czaszki świętobliwego Jogisa, z zaświatami. Mało pomagały do znawstwa firm automobilowych... Ale już wręcz groteską stawały się przy stałem załatwianiu korespondencji. Te listy, te listy, te listy... I te kobiety!

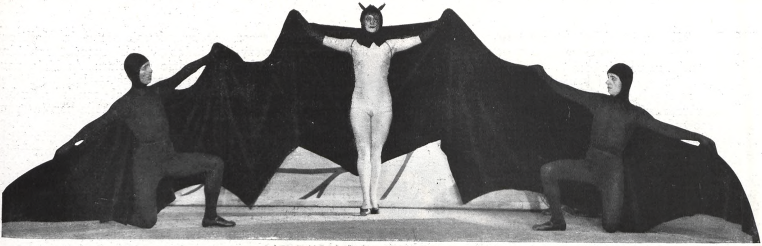
Właściwie kobiety to był jedyny punkt, na którym sekretarz dr. Mollis przychylał się do milczącego, nigdy nie wypowiedzianego zdania swego chlebodawcy. Przypuszczał, że przed jajami dzikich ptaków Wydanowski musiał kolekcjonować te właśnie kobiety i jakąś djaboliczną mocą rządzony objekt kolekcjonowania nie chciał, nie mógł, czy nie umiał odczepić się od zniechęconego kolekcjonisty. I żeby choć w grę wchodziły tylko te dawne — no! Ale ilość ich wzrastała, rozmnażały się, podwajały, groziły klęską, zalewem! Nie można się było obronić — coraz więcej było telefonów, kwiatów, skarg, łez i listów. I listów...

Listy — tak, te listy to była prawdziwa zmora sekretarza dr. Mollisa. Umowa brzmiała: „pan czyta, pan *stara się* zrozumieć, pan odpisuje, pan podpisuje, ja nie chcę o niczem wiedzieć. Jak się zdarzy coś ważnego, powiem panu sam. Ale narazie nie przewiduję nic..."

— Więc po co pan je uwodzi? — ośmielił się kiedyś spytać Mollis. W odpowiedzi na to Wydanowski opadł bezsilnie na fotel. On?

Nie, nie uwodził ich. Tylko bywał często w tak zwanem towarzystwie. Tańczył z niemi. Ale chętniej grał w bridge'a. O, dużo chętniej! Nawet nie flirtował. Miał stale w zapasie trzy rodzaje rozmów — (czasami w towa-

(Ciąg dalszy na str. 50)



Zizi Halama jako „Nietoperz"

„GRUNT, TO FLOTA",

rewja w teatrze „Wesoły Wieczór"

Najmłodszy z teatrzyków warszawskich, nie poprzestając na popularności zdobytej w okresie pracy na Woli po przeniesieniu się do śródmieścia nie spoczął na laurach, lecz zabrał się do dalszej intensywnej pracy. W teatrze tym ciągle trwają zmiany na lepsze, zespół rośnie liczebnie i zyskuje na swej wartości.

Ośrodek zespołu stanowią trzy osoby, w swoim zakresie pracy i uzdolnień niezastąpione: Lucy Messal jak dawniej tak i teraz jest jedyną śpiewaczką operetkową, łączącą niepospolity kunszt śpiewaczy z wielką kulturą artystyczną. Zizi Halama, jedyna z utalentowanych sióstr, która wytrwała w pracy artystycznej, znajduje się obecnie w znakomitej kondycji. Jej popisy nacechowane nietylko estetyką lecz i wielką brawurą zyskują dobrze zasłużone uznanie.

Feliks Parnell jest nietylko najlepszym w kraju tancerzem, lecz i niezwykle uzdolnionym baletmistrzem. Stworzyć w ciągu paru miesięcy zespół baletowy i doprowadzić go do wielkiej sprawności — to sukces naprawdę nieprzeciętny.



Lucy Messal

Dalej znajdujemy w zespole aktorów tak cenionych, jak Gabrielli, M. Rentgen, Krzewiński, Horski, Macherski, Skonieczny. Obok tych zasłużonych kapłanów podkasanej muzy urastają nowe talenty, umiejętnie przez teatr pokazywane. Na scenie „Wesołego Wieczoru" poznaliśmy bezsprzecznie uzdolnioną i pracowitą Kraszewską, pełną temperamentu Żelichowską, urodziwą Nowicką i ostatnio—porwaną z „Ananasu" pełną wdzięku Niemirzankę. W „Wesołym Wieczorze" też mogliśmy ocenić wszechstronne zdolności Klimaszewskiego i młodego Leliwy.

Bieżąca rewja „Grunt, to flota" nie ma pretensji do frapowania widza rozmiarami wystawy i nakładem kosztów. Bawi widza niewymuszonym humorem, zajmuje mnogością pomysłów, pociąga obfitością nowych motywów.

Do sukcesu rewji przyczyniła się znakomicie młoda dekoratorka teatru p. Gena Galewska. Projektowane przez nią kostjumy radują oko harmonją barw i śmiałością pomysłów. Dekoracje są opracowane bardzo starannie, zaś rozwiązanie bardzo trudnego problematu dekoracyjnego w I finale—wręcz doskonałe.



Lena Żelichowska i Feliks Parnell z zespołem baletowym w 2-m finale rewji

Fot. St. Brzozowski

rzystwie trzeba rozmawiać także — naprzykład, kiedy orkiestra je kolację) — dla brunetek, blondynek i rudych. Oczywiście młodych. Od starych uciekał w panice.

A te rozmowy?

Rozmowy? czy ja wiem... Aha, zaraz jest pani upajająca, jak melodja... Jak się to stało, że dziś dopiero widzę panią?

Myślałem przecież, że już nigdy żadna kobieta... Te pani krucze włosy... Czy sądzi pani, że i ja mógłbym być jeszcze szczęśliwy? Ja — włóczęga marzenia... A teraz — niech się pani nie śmieje ze mnie — kiedy pani weszła — mój Boże! przez jedną sekundę miałem to jedyne w życiu uczucie — „to ta..."

Aha! a co pan mówi blondynkom?

Jakże? to samo. Tylko zamiast „krucze włosy", mówię „złociste". Rudym — „Tycjanowskie". Niech się cieszą!

I to już wszystko?

No, nie. To na początek. A potem już jednakowo Każda jest niezrozumiana, każda coś kryje przed światem i każda ma najsmutniejsze oczy. Poza tem wszystkie więdną w tych warunkach. Rozumie pan?

A przy zerwaniu?

Kiedy nie chcą zrywać, zauważył melancholijnie Wydanowski. Żeby chciały! Tłumaczę i tłumaczę, że to przecież nic groźnego, że to tylko kiedy pierwsza miłość mija, człowiek nie wie, czy dalej będzie żyć...

? ? ?

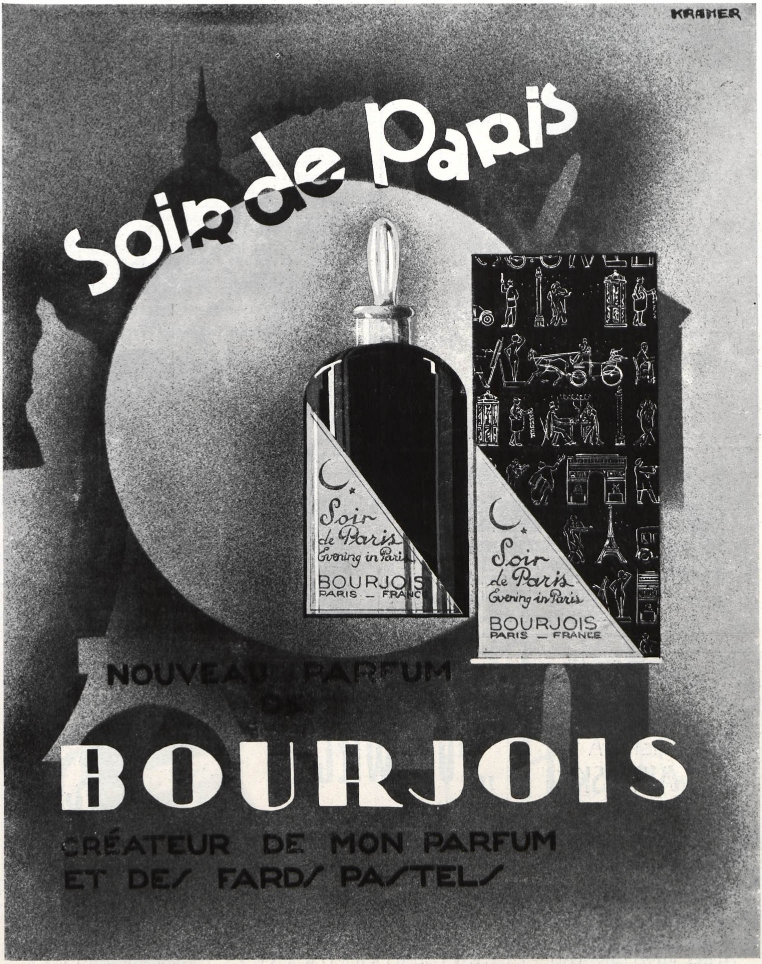
No, tak! kiedy przechodzi druga miłość, wiemy już napewno, że dalej będziemy. A w trakcie trzeciej — no, no! wiadomo nawet z kim przeżyjemy czwartą... Ale kobiety tego nie rozumieją. Taki już mój los!

*

W gruncie rzeczy, w tym okresie czasu dr. Mollisowi było zupełnie wszystko jedno w jaki sposób zarobi na chleb. Sekretarz? niech będzie sekretarz. Ambicje naukowe zastąpił koniak, lekturę naukową — lektura listów. Dni płynęły jednakowo — każdy miał ranek, południe i wieczór, każda noc była do spania, a każda pensja gruntowanie przepijana. Chwile katzenjameru należało pieczołowicie hodować — były przecież jedynem świadectwem istnienia tak zwanej „duszy". Nudne to było, coprawda, do obrzydzenia, ale cóż? W chwilach pogodzenia z losem potrafił się nawet sekretarz dr. Mollis uśmiechać do niektórych listów. Rozpoznawał tak dobrze papeterję i charaktery pisma, znał nawet niektóre twarze. Niedarmo, dla orjentacji, zaprowadził Wydanowskiemu „kartotekę" pełną fotografji i danych faktycznych. Pod każdą fotografją, prócz dedykacji, znajdowała się krótka notatka i djagnoza: „melancholja, demonizm, figlarność, poezja, sentymentalizm, uduchowienie"... Prócz tego kolor włosów, adres i ilość nadesłanych listów. Stan cywilny także.

Zrzadka listy te były traktowane poważnie; sekretarz Mollis, człowiek, który był kiedyś au courant wszelkich zjawisk natury ekonomicznej, nie miał żadnych zdolności do analizowania cudzych uczuć. Cóż zresztą mogła pisać ta, czy tamta dama, o oczach, bezwątpienia, mocno podkreślonych tuszem, leniwe, bezprodukcyjnie wegetujące stworzenie, do Wydanowskiego — człowieka, który różnił się od niej tem tylko, że nie malował sobie oczu? Poparu miesiącach urzędowania sekretarz dr. Mollis odpisywał na listy szablonowo, utworzywszy sobie, wzorem szefa, niezawodną receptę. Więc: dużo sentymentu, nieodzowne „myślę o pani tak dużo"... i „jestem samotny"... Więc: „chciałbym wypowiedzieć to wszystko, ale patrząc w pani oczy"... Więc: „wiem, że w życiu pani jestem tylko kaprysem"... Dotychczas wszystko szło dobrze. Nie skarżył

(Ciąg dalszy na str. 52)


KRAMER
Soir de Paris
Soir de Paris
Evening in Paris
BOURJOIS
PARIS — FRANCE
Soir de Paris
Evening in Paris
BOURJOIS
PARIS — FRANCE
NOUVEAU PARFUM
DE
BOURJOIS
CRÉATEUR DE MON PARFUM
ET DES FARDS PASTELS

SEKRETARZ Dr. MOLLIS (ciąg dalszy)

się Wydanowski, ani korespondenci. Jeśli niezadowolony był ktoś — to tylko sam Mollis. Ale czego można wymagać od człowieka, który miewa nastroje, pija alkohol, i, od czasu do czasu potrafi sam sobie zadać niemądre pytanie: „po co?"

*

Pierwszy list od Hanki przyszedł w trzy tygodnie po balu, na którym Wydanowski był obrany arbitrem elegancji. Sekretarz Mollis otworzył go z westchnieniem i odrazu zdziwił się mile: zamiast przepisowych czterech stron „maczkiem", na pierwszej stronie znajdowało się tylko kilka słów. Dama donosiła Wydanowskiemu, że prosi go kategorycznie i raz na zawsze o zapomnienie o jej osobie. Nie było w tem zdaniu ani cienia prowokacji do zdobywania jej, nic żalu, ani kokieterji. Poprostu żądanie. „Zresztą wyjeżdżam na wieś, więc i tak nie będzie pan miał sposobności widywania mnie"... Bez adresu.

List tej treści był pierwszym w praktyce Mollisa, a może i Wydanowskiego. Należało go pokazać szefowi. Wydanowski skrzywił się. Trzeba dowiedzieć się adresu i pisać. Piękna kobieta, a on popełnił nietakt. Zobaczymy, co z tego wyniknie...

Jak pisać?

Mądrze. Ona nie jest głupia. Zresztą, pan sam się zorjentuje...

Wobec tego, że sekretarz Mollis zorjentował się sam, na drugi dzień po zdobyciu adresu, do panny Hanki zostały wysłane kwiaty, pęk herbacianych róż, i kilka słów tylko: „niech mi Pani wybaczy. Jest mi ciężko i źle... Och, jak to łatwo powiedzieć: proszę o mnie zapomnieć. Wiem, że jestem zerem, bezwartościowym, nędznym człowiekiem. Niech mnie Pani nauczy, jak trzeba żyć"... Zdaje się, że treść listu podyktował, opar po wypitym tego dnia koniaku — w każdym razie pewnem jest, że po napisaniu tych słów bezwolna ręka położyła podpis „dr. Mollis" — i trzeba było wszystko raz jeszcze przepisać. Podpis powinien był przecież brzmieć „Tadeusz Wydanowski". I w ten sposób zaczął się romans sekretarza d-ra Mollisa.

Potem przyszły dni ładne i jasne. Były — gdyby je ktoś chciał koniecznie jakoś określić — jednem płonącem oczekiwaniem. Listy od Hanki przychodziły często i każdy z nich miał w sobie coś, co było jedynem, koniecznem i niezbędnem do życia sekretarzowi Mollisowi. Może to tylko robiła jesień — szara i bezlitosna tego roku, ale

każda wiadomość od tej dziewczyny stawała się, jeszcze przed niecierpliwem rozdarciem koperty, wielką radością i wielkiem szczęściem. Pisane były te listy prosto, naiwnie niemal i bardzo serdecznie, pisane były tak, jakby Hanka naprawdę w dobroci swojej wierzyła w możliwość uratowania tego tam Wydanowskiego. Ale dziwnym trafem każde jej słowo ratowało, wzmacniało i krzepiło sekretarza d-ra Mollisa. Powoli—niewiadomo było nawet później jak to się stało — skurczyła się, zmalała i znikła świadomość, że te podłużne, białe koperty nosiły na sobie adres Wydanowskiego. Hanka stała się jedyną i niezaprzeczalną własnością d-ra Mollisa. Czasami przychodził tylko lęk przed jakąś chwilą — kiedy to Wydanowski przypomni sobie i spyta i lęk ten w jednej sekundzie przeradzał się w rozżarzoną do czerwoności, najboleśniejszą zazdrość. Cóż on, sekretarz Mollis, groteskowy doktór filozofji, cherlak i niemrawiec, wykolejona figura z drugorzędnej farsy, w porównaniu z tym chłopcem o głowie Antinousa i torsie godnym Fidjaszowego dłuta? Mózg? po co kobiecie mózg? Przychodziły chwile zastanowienia, kiedy samozachowawczy instynkt nakazywał obronę: („nie pisać, nie myśleć, zapomnieć...), ale każdy list Hanki burzył najsilniejsze postanowienia, tak, że rozpadły się, jak marne domki z kart. Przyzwyczaił się do niej, przyrósł sercem, stała się najbliższym mu i najdroższym człowiekiem. Nocami, wpatrzony w ciemną smugę czerniejącej na tle jesiennego nieba ramy okiennej, myślał o niej długo i serdecznie. Nie tęsknił za jej widokiem, nie chciał zobaczyć jej twarzy. Po co? Czyż i tak nie stała się jedynem ogniwem łączącem go z życiem? A zresztą, powrót jej do miasta — nie, o tem nie mógł myśleć spokojnie. Straciłby ją? jak potem żyć?

Fatalna depesza nadeszła pewnego deszczowego ranka. Otworzył ją z bolesnem przeczuciem największej w swem życiu porażki. Tak. „Przyjeżdżam pojutrze, czy będzie Pan w Warszawie?". I odtąd potoczyło się to

wszystko szalonym, niepowstrzymanym pędem. Kiedy po latach sekretarz dr. Mollis myślał o tym okresie czasu, w mózgu jego powstawała bolesna próżnia. Mieszały się ze sobą w groteskowej gonitwie szczegóły — może i nieważne, ale z tą dziewczyną nierozerwalnie związane. Strzępiła się, jak wątła nitka, kolejność jakichś, na nic już nikomu niepotrzebnych godzin. Co było przedtem, a co potem? Jak się to wszystko stało?

Wiedział, po mozolnem odgrzebywaniu w pamięci, że pierwszym jego odruchem było: ukryć depeszę. Ale już przyzwyczajenie do służb'stego zginania karku zwyciężyło. A potem, na rozkaz Wydanowskiego zamawiał na jakiś wieczór lożę w teatrze. I kwiaty. „Posłać do domu — albo lepiej na stację. Pan zan'esie? nie, nie wypada. Za wielki bluff! nie jestem z M. S. Z'u" A jeszcze potem — jaskrawe światło elektrycznych żyrandoli, obcy tłum i on sam, sekretarz Mollis, wciśnięty w fotel na galerji, głupio i podle drżący z przerażenia, że dostrzegą go tamci z dobrej loży. I tylko raz przez mgnienie oka widziana jej twarz, przez wytężony do łez na rzęsach wzrok. Mała, złotowłosa zdjęta z obrazka. Princesse lointaine. I nagła myśl: „nie dać jej, ustrzec od złego, obronić"...

Ale nazajutrz był dzień, jak inne. Wydanowski spał jeszcze, kiedy przyniesiono ten list. Pisała ona — daleka księżniczka z odwiecznie głupiej bajki biednego, Mollisowego serca. Że go kocha — Tadeusza Wydanowskiego — takiego, jakim jest. Że kocha go bardzo i oddawna. Że nic jej to wszystko, co mówią o nim tamci — źli, zawistni ludzie. „Ja przecież jedna wiem, kim Ty jesteś. To nic, że wczoraj byłeś taki inny, niż w swoich cudnych listach, to nic. Ja przecież jedna wiem, że to maska. I jeszcze więcej Cię kocham i jeszcze bardziej Twoja jestem, bo i Ty jesteś tylko mój. Tylko mój..."

*

Kiedy po trzech dniach sekretarz dr. Mollis bardzo zażenowany pokornie prosił Tadeusza Wydanowskiego o przebaczenie mu i puszczenie w niepamięć „karczemnej burdy", którą zrobił po pijanemu, dobrotliwy szef zgodził się łatwo i nawet poklepał swego sekretarza pobłażliwie po ramieniu. Cóż! upić się raz w życiu może każdy, a tembardziej taka szara figura, która poza koniakiem właściwie nic w życiu niema. „Ale o tem, że te listy do mojej narzeczonej pan pisywał, nie dowie się nikt", zastrzegł się tylko. „Ładna dziewczyna i nawet miła, a że ożenić się kiedyś i tak trzeba... Zawsze są lepsze te z ziemiaństwa—bo i wymagania mniejsze i wogóle... W każdym razie, ponieważ poleciała najwięcej na pańskie listy, niech niema zmartwienia. Żeby się pan jutro, na tej zaręczynowej szopce, na którą na znak zgody zapraszam pana, nie wygadał, panie! Dyskrecja zapewniona?"

„Oczywiście!" sekretarz dr. Mollis skłonił się głęboko i jego niemądre, ludzkie serce rozdzwoniło się nagle wielkiem, świątecznem, jasnem szczęściem, że za dwadzieścia cztery godziny zobaczy ją zblizka...



Szampan... *fot. Manassé*

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „KARO" Sp. z o. o.

Redakcja i Administracja: ul. Nowy-Świat Nr. 27. tel. 303-42. **Konto P. K. O. 16190.**

Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.



Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa.



KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.